

# Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.



## Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3

Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

## Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . .	rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . .	rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . .	rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.



REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI.

WYDAWCA: KAZIMIERA GADOMSKA.

---

Redakcyja i Administracyja Warszawa, Sienna 2,  
we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

---

DRUK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70. Tel. 27-73.

I 2.006.097

№ 549. ~~30433~~

**Biblioteka Dzieł Wyborowych.**

---

CONAN DOYLE.



Z PRZYGÓD  
**SHERLOCKA HOLMESA**

Tłóm. z angielskiego

Bronisława Neufeldówna.

Cena 40 kop.

W prenum. 30<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kop.

~~30433~~

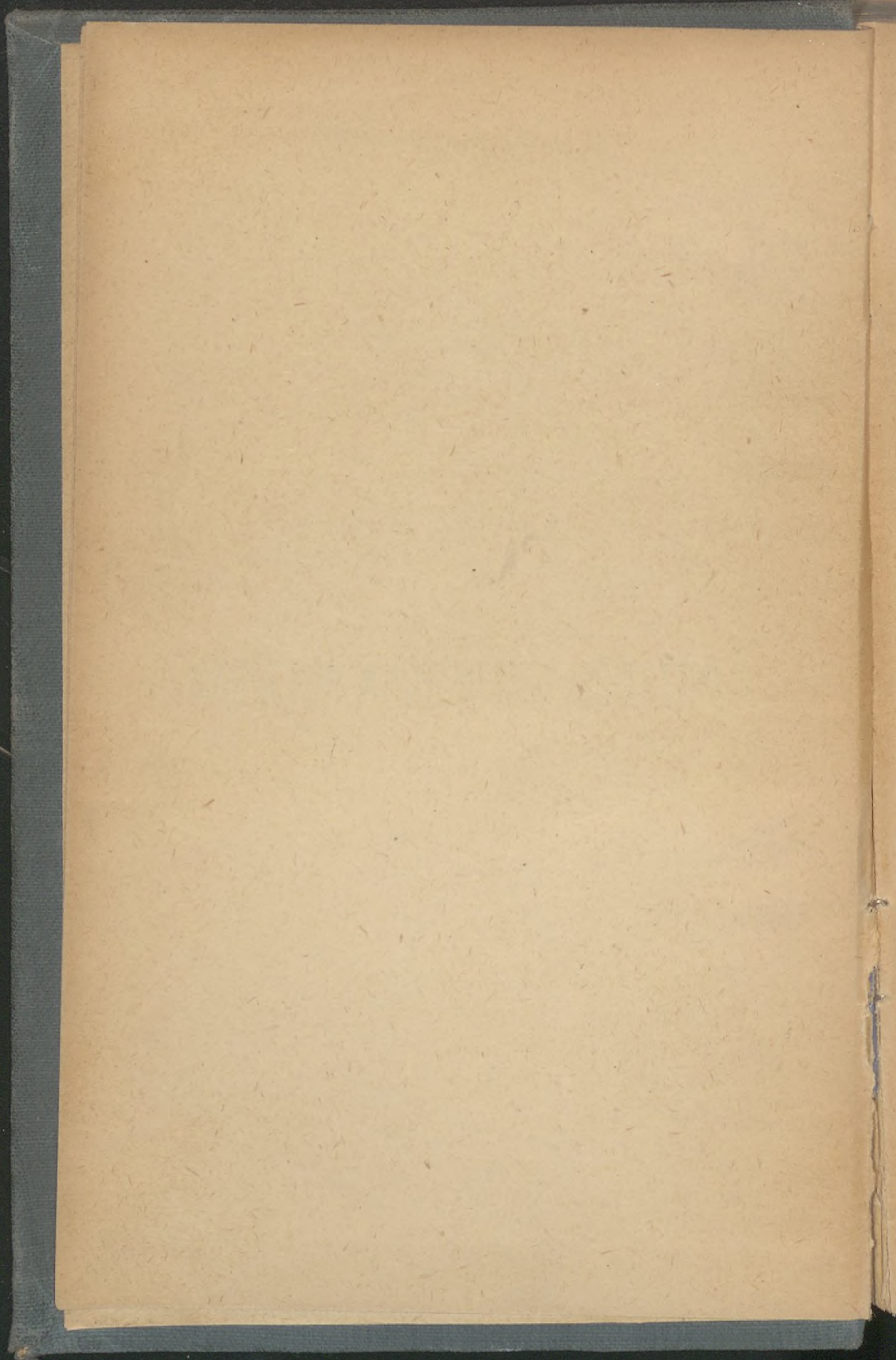
WARSZAWA

Redakcyja i Administracyja Sienna № 2, (Dom Towarzystwa Rosya). Telefon 114.30.

1908.



**Z PRZYGÓD SHERLOCKA HOLMESA.**



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

CONAN DOYLE.



Z PRZYGÓD  
**SHERLOCKA HOLMESA**

Tłóm. z angielskiego

Bronisława Neufeldówna.



30433

WARSZAWA  
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-SWIAT 70.  
1908.



J 2.006.097





## **WSTĘGA CENTKOWANA.**

Przebiegając swoje notatki, dotyczące siedemdziesięciu spraw ciekawych, w których toku studyowałem przez lat osiem sposób postępowania swego przyjaciela Sherlock'a Holmes'a, znajduję wiele bardzo tragicznych, nieco komicznych, a znaczną liczbę poprostu dziwacznych. Żadna z nich wszakże nie jest banalna, co pochodzi ztąd, że Holmes, pracując raczej przez miłość dla sztuki, niż z chęci zarobku, nie rozpoczynał nigdy śledztwa w sprawie, która nie zakrawałaby na oryginalną, a nawet na fantastyczną. Pośród tych wszystkich spraw wszakże nie znajduję ani jednej oryginalniejszej, niż ta, która dotyczy dobrze znanej w hrabstwie Surrey rodziny Roylott'ów of Stoke Moran.

Wypadki, które opowiedzieć zamierzam, zaszły w początkach mojej przyjaźni z Holmes'em, gdy kawalerami będąc, mieszkaliśmy razem przy ulicy Baker. Byłbym mógł ogłosić je wcześniej, gdybym

nie przyrzekł, że zachowam je w tajemnicy; w ubiegłym miesiącu dopiero zwolniła mnie z dotrzymania słowa śmierć niespodziewana tej, której je dałem. Nadeszła chwila podania tych wydarzeń do wiadomości powszechnej, albowiem doniesiono mi z pewnego źródła, że o śmierci doktora Grimesby Roylott'a rozeszły się pogłoski, nadające tej sprawie charakter jeszcze poważniejszy, niż miała w istocie.

Było to w początkach kwietnia 1883 roku; budząc się pewnego ranka ujrzałem przed łóżkiem Sherlock'a Holmes'a już zupełnie ubranego. Nie był on zazwyczaj rannym ptakiem, a ponieważ zegar na kominku wskazywał dopiero kwadrans na ósmą, przeto spojrzełem na Holmes'a ze zdumieniem i z pewną urazą, że mi sen zakłócił.

— Przykro mi bardzo, że cię muszę obudzić, Watson'ie—rzekł—ale taki nas wszystkich los dzisiaj. Pani Hudson puściła w ruch cały dom; ponieważ musiała zerwać się niespodzianie z łóżka, więc zemściła się na mnie i na tobie.

— Ale co jest? pali się?

— Nie, jest klientka, młoda dziewczyna, która przybyła w stanie najwyższego wzburzenia i chce koniecznie widzieć się ze mną. Czeka w bawialni. Otóż, gdy młode dziewczęta wychodzą na miasto o tej godzinie i wyrrywają ludzi ze snu, znaczy to, że mają jakiś bardzo nagły interes. Jeśli zaś ta przynosi nam ciekawą sprawę, chciałbyś, jestem pewien, śledzić jej bieg od początku. Z tego względu postanowiłem cię obudzić, byś nie stracił nadarzającej się sposobności.

— Mój drogi, byłbym zrozpaczony, gdybym nie mógł z niej korzystać.

Nie nie roznamiętniało mnie do tego stopnia, co śledzenie Holmes'a w jego badaniach i podziwianie szybkości i intuicji, z jaką wysnuwał wnioski, przy których pomocy rozwiązywał najzawilsze zagadki. Ubrałem się śpiesznie i, w kilka minut później, wchodziłem razem ze swym przyjacielem do bawialni.

Znaleźliśmy się wobec kobiety w czarnym stroju, z twarzą zakrytą gęstą woalką; na nasz widok wstała z krzesła, na którym usiadła przy oknie.

— Dzień dobry pani — rzekł Holmes uprzejmie.—Nazywam się Sherlock Holmes, a oto doktor Watson, mój najlepszy przyjaciel i współnik, wobec którego może pani mówić tak szczerze, jakgdybym był sam. Niech pani zechce łaskawie zbliżyć się do ognia, a ja każę pani podać filiżankę gorącej kawy, bo widzę że pani drży z zimna.

— To nie z zimna — odparła kobieta głosem cichym, zmieniając miejsce.

— A z czego?

— Ze strachu, panie Holmes, powiedziałabym nawet z przerażenia.

To mówiąc podniosła woalkę i spostrzegliśmy, że była istotnie w stanie niesłychanego wzburzenia: twarz miała zapadniętą, cerę śmiertelnie bladą, oczy niespokojne, wylękle, jak ścigana zwierzyna. Wyglądała na kobietę lat trzydziestu, ale włosy jej posiadały przedwcześnie, a w całej postaci przebiegało się wielkie znużenie. Sherlock dostrzegł to wszystko odrazu jednym przenikliwym rzutem oka.

— Niech się pani nie boi, — rzekł życzliwie, pochylając się ku niej i dotykając dłonią jej ramienia—wyświetlimy to szybko, jestem pewien. Zda je mi się, że pani przyjechała koleją?

— Pan mnie zna?

— Nie, ale widzę bilet powrotny w lewej rękawiczce pani. Wyruszyła pani z domu weześnie i jechała długo amerykańnem złemi drogami do stacyi.

Kobieta drgnęła i, zdumiona, spojrzała na mego towarzysza.

— Niema w tem żadnej tajemnicy, kochana pani—rzekł z uśmiechem.—Lewy rękaw zakietu pani jest obryzganý błotem w siedmiu miejscach; znaki są jeszcze świeże: tylko amerykań może ochlapać w ten sposób, zwłaszcza, jeżeli się siedzi z lewej strony woźnicy.

— Jakakolwiek jest metoda pańskich wywodów, odgadł pan trafnie — rzekła. — Opuściłam dom przed szóstą, przybyłam do Leatherhead o szóstej dwadzieścia, a do Waterloo pierwszym pociągiem. Panie, ja dłużej nie wytrzymam, zwaryuję jeśli to potrwa. Nie mam nikogo, do którego mogłabym się udać, absolutnie nikogo; jedyny człowiek, którego mój los zajmuje, nie może mi przyjść z pomocą. Słyszałam o panu, panie Holmes, od pani Farintosh, której pan dopomógł w sprawie bardzo trudnej. Od niej mam pański adres. Ach! panie, czy pan sądzi, że i mnie będzie pan mógł dopomódz, że zdoła pan przynajmniej rzucić nieco światła w ten zamęt, który mnie otacza? Na razie nie mogłabym wynagrodzić pańskich usług, ale za miesiąc lub dwa, wyjdę zamaż, będę rozporządzała swoim majątkiem,

a wtedy przekona się pan, że nie jestem niewdzięczna.

Holmes podszedł do biurka, wyjął notatnik i zajrzał.

— Farintosh—rzekł.—Ach! tak, przypominam sobie, chodziło o dyadem z opali. Zdaje mi się, że to jeszcze nie z twoich czasów, Watson'ie. Mogę panią zapewnić, że z całą ochotą zajmę się sprawą pani, jak zająłem się sprawą jej przyjaciółki. Nie mówmy o honorarium, proszę pani; mój zawód przynosi sam w sobie nagrodę. Zwróci mi pani koszty, jakie ewentualnie poniosę, kiedy pani będzie dogodnie. A teraz niech pani zechce opowiedzieć nam swoją sprawę, nie opuszczając ani jednego szczegółu, który mógłby nas objaśnić.

— Niestety—odparła przybyła — groza mego położenia wynika ztąd, że obawy moje są takie nieuzasadnione, a moje podejrzenia oparte na podstawach takich słabych, iż nawet ten, od którego mam prawo żądać pomocy i rady uważa je za urojenia kobiety nerwowej. Nie mówi tego, ale ja to odgaduję z jego odpowiedzi pocieszających, z jego spojrzeń pełnych litości. Ale powiedziano mi, panie Holmes, że pan umie czytać w głębi serca ludzkiego, może pan zdoła mi dać radę wobec niebezpieczeństw, jakie mi grożą.

— Zamieniam się cały w słuch.

— Nazywam się Helena Stoner i mieszkam u ojczyma, ostatniego potomka jednej z najstarszych rodzin saksońskich w Anglii, Roylott'ów of Stoke Moran, rodziny, osiadłej na zachodnich krańcach Surrey.

Holmes skinął głową.

— Nazwisko jest mi znane—rzekł.

— Rodzina ta należała niegdyś do najbogatszych w Anglii, a włości jej ciągnęły się na północ aż do Berkshireu a na zachód do Stampshireu. Ale w ubiegłym stuleciu nastąpiły po sobie cztery pokolenia marnotrawców i hulaków, a do ostatecznej ruiny doprowadził dom szuler za czasów regencji. Z włości nie pozostało nic, prócz kilku akrów gruntu i starego, mającego dwieście lat domu, z bardzo obdłużoną hypoteką. Ostatni właściciel pędził w nim nędzne życie zrujnowanego magnata; ale jego jedyny syn, doktor, mój ojczym, zdawał sobie sprawę z tego, że należy się z tego otoczenia wydobyć i wyjechał do Kalkuty, gdzie, dzięki umiejętności zawodowej i sile charakteru zdobył liczną klientelę. W porywie gniewu, wywołanego popełnioną u niego kradzieżą, zabił swego służącego, Indusa i omal nie został skazany na śmierć. Przesiedział kilka lat w więzieniu, poczem powrócił do Anglii, ponury i zgorzkniały.

„Podczas pobytu w Indyach dr Roylott poślubił moją matkę, panią Stoner, młodą jeszcze wdowę po generale artylerji w Bengalu. Siostra moja, Julia i ja byłyśmy bliźniaczkami i miałyśmy dwa lata, gdy matka nasza wychodziła powtórnie za mąż. Była bogatą, miała tysiąc funtów sterlingów rocznej renty i zapisała majątek drowi Roylotta'wi pod warunkiem, żebyśmy zamieszkały przy nim i żeby nam zapewnił, w razie naszego zamążpójścia, rentę, którą wyznaczyła.

„Wkrótce po naszym powrocie do Anglii mat-

ka moja umarła, została zabita podczas wypadku kolejowego pod Creve, przed ośmiu laty. Począwszy od tej chwili dr. Roylott przestał dbać o praktykę w Londynie i zabrał nas ze sobą do starego domu w Stoke Moran. Majątek, pozostawiony przez matkę, wystarczał aż nadto na nasze potrzeby i zdawało się, że żadna przeszkoda nie stanie nam w drodze do szczęścia.

„Ale nagle w charakterze naszego ojczyma zaszła straszna zmiana. Zamiast starać się o przyjaźń ludzką i odwiedzać sąsiadów, którzy byli zrazu bardzo uradowani zamieszkaniem jednego z Roylott'ów of Stoke Moran w starej siedzibie rodzinnej, zamykał się u siebie i wychodził tylko po to, by wszeczynać namiętne swady z każdym, którego spotkał na drodze.

„Gwałtowność charakteru, granicząca z obłądem, była zresztą dziedziczna u mężczyzn w jego rodzinie, a zdaje mi się, że u mego ojczyma skłonność ta wzmogła się, skutkiem długiego pobytu w strefie gorącej. Wywoływał takie awantury, że dwa razy był pozywany przed sąd policyi poprawczej. Stał się postrachem wioski, ludzie uciekali na jego widok, gdyż jest bardzo silny, a jak wpadnie w złość przestaje zupełnie panować nad sobą.

„W ubiegłym tygodniu zrzucił kowala z mostu do rzeki, a chcąc uniknąć skandalu publicznego musiałam złożyć w ofierze wszystkie pieniądze, jakimi na razie rozporządzałam. Ojczym mój nie ma żadnych przyjaciół, z wyjątkiem Cyganów, pozwala tym włóczegom obozować na pokrytych zaroślami kilku akrach ziemi, które pozostały z dawnych dóbr

i wzamian przyjmuje ich gościnność w namiotach, a nawet podróżuje z nimi całymi tygodniami. Ma również upodobanie do pewnych zwierząt indyjskich, które mu przysyła handlarz; obecnie naprzykład chowa panterę i pawiana; nie trzyma ich bynajmniej na uwięzi i są one postrachem wieśniaków podobnie, jak ich pan.

„Z tego wszystkiego może pan wnosić, że moja biedna siostra, Julia i ja, nie miałyśmy wesołego życia. Nie mogłyśmy utrzymać żadnej służki i przez długi czas musiałyśmy wszystko robić same. Siostra moja miała dopiero lat trzydzieści, gdy umarła, a mimo to włosy jej zaczęły już siwieć, jak moje.

— Siostra pani umarła?

— Tak jest, dwa lata temu; o jej śmierci właśnie chcę z panem pomówić. Domyśla się pan niezawodnie, że, pędząc takie życie, mało miałyśmy sposobności widywania ludzi odpowiedniego wieku i z naszego świata. W pobliżu Harrow mieszka jedna nasza ciotka, niezamężna siostra naszej matki, panna Honorata Westpbail, którą wolno nam było odwiedzać od czasu do czasu. Julia spędziła u niej przed dwoma laty święta Bożego Narodzenia i tam poznała majora floty, z którym się zaręczyła. Ojczym dowiedział się o zaręczynach po powrocie siostry i nie stawiał żadnych przeszkód małżeństwu. Ale na dwa tygodnie przed ślubem rozegrał się straszny dramat, który mnie pozbawił jedynej towarzyszki.

Sherlock Holmes siedział rozparty w fotelu, oczy miał zamknięte, głowę przechyloną na podusz-



ce; w tej chwili wszakże otworzył oczy i rzucił spojrzenie na swoją klientkę.

— Zechce pani łaskawie opowiedzieć mi z najdokładniejszymi szczegółami co zaszło—rzekł.

— Przyjdzie mi to łatwo, bo każda chwila owej okropnej nocy pozostała wyryta w mojej pamięci. Dom jest, jak wspomniałam, bardzo stary, a zamieszkane jest tylko jedno skrzydło. Sypialnie są na parterze, salony w pawilonie środkowym. Pierwszy pokój zajmuje doktor Roylott, w drugim sypiała moja siostra, trzeci jest moją sypialnią. Pokoje te nie łączą się ze sobą, ale wszystkie wychodzą na jeden korytarz. Czy objaśniam wyraźnie?

— Doskonale.

— Okna tych trzech pokoi wychodzą na obszerny trawnik. Owej nocy fatalnej, kiedy siostra moja umarła, doktor Roylott poszedł wcześniej do swego pokoju, ale się nie położył, gdyż niebawem Julia uczuła woń mocnych cygar indyjskich, które palił zazwyczaj. Woń ta drażniła ją, przyszła zatem do mego pokoju i rozmawiałyśmy czas jakiś o jej małżeństwie. Po godzinie jedenastej wstała, by wrócić do siebie, lecz zatrzymała się przy drzwiach, pytając:

— Ale, ale, Heleno, czy nie słyszałaś nigdy gwizdania śród nocy?

— Nigdy—odparłam.

— Przypuszczam, że, śpiąc, nie mogłabyś gwizdać, co?

— Oczywiście, ale dlaczego pytasz?

— Bo podczas ostatnich kilku nocy słyszałam około trzeciej nad ranem gwizdanie ciche, a jednak



wyraźne. Mam sen bardzo lekki i to mnie zbudziło. Nie mogę sobie zdać sprawy z kąd to pochodzi, z sąsiedniego pokoju, czy z trawnika przed oknami? Chciałam więc dowiedzieć się czy i ty słyszałaś to gwizdanie!

— Nie. To pewno ci przekłęci Cyganie w parku.

— Może być. A jednak, jeśli odgłos ten dochodzi z trawnika, dziwię się, żeś go nie słyszała.

— Bo ja nie mam snu tak lekkiego, jak ty.

— O! mniejsza o to zresztą—dodała z uśmiechem, poczem wyszła i po chwili usłyszałam, że zamyka drzwi na klucz.

— Przepraszam — rzekł Holmes — czy panie zawsze zamykały na klucz drzwi od sypialni?

— Zawsze.

— A to dlaczego?

— Zdaje mi się, że wspominałam, iż doktor chowa panterę i pawiana; czułyśmy się zatem bezpieczne tylko wtedy, gdy nasze drzwi były zamknięte na klucz.

— Nie dziwnego. Proszę niech pani mówi dalej.

— Nie mogłam spać tej nocy. Dręczył mnie niepokój, jakieś nieokreślone przeczucie nieszczęścia. Siostra i ja byłyśmy bliźniaczkami, o ile pan pamięta, a wszak panu wiadomo, jakie subtelne są węzły łączące dwie, takie bliskie, dusze. Czas był straszny. Wicher wył przeraźliwie, a strumienie deszczu z szelestem sływały po szybach. Nagle, wśród szumu burzy, dobiegł mnie krzyk rozpaczliwy przerażonej kobiety; poznałam głos siostry. Wy-

skoczyłam z łóżka, otuliłam się szalem i wybiegłam na korytarz. W chwili, gdy otwierałam drzwi, zdawało mi się, że dosłyszałam ciche gwizdnięcie takie, o jakim wspomniała mi siostra, a w sekundę później dobiegł mnie dźwięk donośny, jakgdyby rzuconego na ziemię metalu. Poczem powoli otwarły się drzwi od pokoju mojej siostry. Przerażona zatrzymałam się, nie wiedząc co się stanie. Przy blasku lampy, wiszącej w korytarzu ujrzałam we drzwiach siostrę, bladą śmiertelnie, błagalnymi ruchami, wzywającą pomocy, chwiejącą się jak człowiek pijany. Rzuciłam się ku niej, porwałam ją w objęcia, ale nogi ugięły się pod nią, padła na ziemię. Wiła się w najstraszliwszych cierpieniach, wszystkie członki miała konwulsyjnie skręcone. Zrazu myślałam, że mnie nie poznaje, ale gdy pochyliłam się nad nią, krzyknęła głosem, którego nie zdołam zapomnieć nigdy: „Och! Boże, Heleno! To była wstęga! wstęga centkowana!“ Chciała widocznie powiedzieć jeszcze coś więcej, zdawało się, że wyciągniętym palcem pragnie przebić ścianę pokoju doktora, ale pochwyciły ją znów konwulsye i nie zdołała wymówić jednego słowa. Wypadłam na korytarz, wzywając ojczyma i spotkałam go w szlafroku, wychodzącego śpiesznie z pokoju. Gdy powróciliśmy do siostry, była nieprzytomna. Doktor wlał jej koniaku w usta, posłał po lekarza wioskowego, ale wszelkie usiłowania okazały się daremne. Życie uchodziło z niej stopniowo, umarła, nie odzyskawszy przytomności. Taki był okropny koniec mojej ukochanej siostry.

— Przepraszam—rzekł Holmes—czy pani jest

pewna, że pani słyszała to gwizdanie i ten odgłos metaliczny? czy mogłaby pani ręczyć za to słowem honoru?

— To samo pytanie zadał mi sędzia podczas śledztwa. Mam to przekonanie, że słyszała, a jednak wśród szumu burzy i ech, odzywających się w starym domu, mogłam się pomylić.

— Czy siostra pani była ubrana?

— Nie miała na sobie nic prócz koszuli nocnej. Znalaziono w jej prawej ręce resztkę spalonej zapalki, a w lewej pudełko zapalek.

— Co dowodzi, że chciała zapalić światło i rozejrzeć się dokoła. To szczególnie ważny. Jakież był wynik śledztwa?

— Przeprowadzono bardzo drobiazgowe badanie, gdyż postępowanie doktora Roylotta było dobrze znane w całym hrabstwie, lecz nie zdołano wykryć żadnej bezpośredniej przyczyny śmierci. Moje zeznanie świadczyło, że drzwi były zamknięte od wewnątrz; co zaś do okien, te były zaopatrzone w staroświeckie okiennice ze sztabami żelaznymi, które zamknięto co wieczór. Obejrzano starannie mury i nie znaleziono najmniejszej skazy; zbadano jaknajściślej posadzkę z tym samym wynikiem. Komin jest wprawdzie szeroki, ale zamknięty na pewnej wysokości czterema mocnymi drągami. Nie ulega zatem wątpliwości, że moja siostra była zupełnie sama w chwili, gdy zaszedł wypadek, który jej śmierć spowodował. Zresztą na ciele jej nie było żadnego śladu gwałtu.

— A trucizna?

— Doktorzy zbadali ją, gdyż powzięli to samo podejrzenie, ale nie absolutnie nie znaleźli.

— Czemuż więc przypisuje pani zgon swej nieszczęśliwej siostry?

— Jestem przekonana, że zmarła jedynie skutkiem przerażenia i doznanego wstrząśnienia nerwowego. Ale, co ją tak przeraziło, nie mam pojęcia.

— Czy byli wówczas Cyganie w parku?

— Byli, nie brak ich tam nigdy.

— A... jaką myśl podsunęła pani ta wzmianka o wstędze centkowanej?

— Pomyślałam narazie, że to poprostu jakieś majaczenie, pod wpływem szału, wywołanego przestraszeniem; zdawało mi się, że może przypomniała sobie nagle Cyganów w parku, a kolorowe chustki i wstążki, w jakie stroją się ich kobiety, podsunęły mojej biednej siostrze ten niewytłomaczony, dziwaczny okrzyk.

Holmes potrząsnął głową, jak człowiek niezadowolony.

— Wydaje mi się to bardzo tajemnicze — rzekł. — Niech pani mówi dalej, proszę.

— Minęły dwa lata, a życie moje było do ostatnich czasów jeszcze samotniejsze, niż dawniej. Przed miesiącem, wszakże, dawny mój przyjaciel oświadczył się o moją rękę. Nazywa się Armitage, Percy Armitage; jest to młodszy syn pana Armitage'a z Crane Water, w pobliżu Readingu. Ojczym nie opierał się temu projektowi i mamy pobrać się na wiosnę. Przed dwoma dniami rozpoczęto roboty restauracyjne w zachodniem skrzydle gmachu i okazała się potrzeba przebicia ściany mego pokoju. Musiałam

tedy przenieść się do pokoju, gdzie moja siostra umarła i spać na tem samym łóżku, na którym ona spała. Niechże pan wyobrazi sobie mój przestrah, gdy ubiegłej nocy, nie śpię i myślę o smutnym losie siostry, a tu nagle wśród ciszy nocnej dobiega mnie zaledwie dosłyszalne gwizdnięcie, a raczej syk, który był sygnałem jej śmierci. Zerwałam się, zapaliłam lampę, lecz nie dostrzegłam nic w pokoju. Byłam jednakże taka wzburzona, że o zaśnięciu momy być nie mogło, ubrałam się tedy i, skoro dzień zaświtał, wymknęłam się: wzięłam konie z gospody „Pod Koroną“, która znajduje się naprzeciw naszego domu i pojechałam do Leatherhead, z kąd przybyłam dziś rano, jedynie w celu rozmówienia się z panem i zażądania jego rady.

— Dobrze pani zrobiła — odparł mój przyjaciel.—A czy pani powiedziała mi wszystko?

— Tak jest, wszystko.

— Miss Roylott, to nieprawda: pani oszczędza ojczyma.

— Jakto! co pan chce przez to powiedzieć?

Zamiast odpowiedzi, Holmes, unosząc czarną koronkę przy rękawie, odsłonił spozywającą na kolanach rękę panny Stoner; pięć plam sinych, znaki pięciu palców, ukazało się poniżej dłoni.

— Obszedł się z panią brutalnie — rzekł Holmes.

Panna Stoner oblała się ciemnym rumieńcem i, ukrywając posiniaczoną rękę—odparła:

— Jest bardzo gwałtowny i może nie zdaje sobie sprawy z własnej siły.

Zapanowało długie milczenie, podczas którego

Holmes, z brodą opartą na dłoniach, wpatrywał się w ogień kominka.

— Bardzo ciemna sprawa—rzekł wreszcie. — Jest tam mnóstwo nieznanych mi szczegółów, które chciałbym wiedzieć, zanim postanowię co czynić należy. Ale nie mamy chwili do stracenia. Gdybyśmy dziś jeszcze pojechali do Stoke Moran, czy możliwem byłoby obejrzenie tych pokojów, bez wiedzy ojezyna pani.

— Owszem; mówił, że wybierze się dziś do miasta, w sprawie bardzo ważnej. Prawdopodobnie nie będzie go przez cały dzień i nie nam nie przeszkodzi. Mamy teraz wprowadzić służącą, ale jest stara i głupia i łatwo mi będzie usunąć ją chwilowo.

— Doskonale. Czy nie masz nic przeciw tej wycieczce, Watsonie?

— Nic zgola.

— A zatem pojedziemy razem. A pani?

— Załatwię kilka sprawunków, skoro jestem w mieście i wrócę pociągiem południowym, tak, że będę w porę, by panów przyjąć.

— Może pani na nas liczyć o wczesnej popołudniowej godzinie. Mam też kilka interesów do załatwienia. Nie zechce pani zostać na śniadaniu?

— Nie, panie, muszę iść. Jestem znacznie spokojniejsza teraz, kiedy już pan wie o wszystkim. Do prędkiego widzenia zatem.

Spuściła gęstą woalkę na twarz i wyszła.

— A ty co na to wszystko, Watsonie?— spytał Holmes, rzucając się na fotel.—Sprawa wydaje mi się bardzo ciemna i ponura.

— Ciemna, o tak... no, i ponura także.

— Wszelako, jeśli to, co ona mówi jest prawdą, jeśli podłoga i ściany są nienaruszone, a dostęp przez drzwi, okno i komin był niemożliwy, to nie ulega wątpliwości, że siostra jej była sama w chwili śmierci. Jak zatem wytłumaczysz to nocne gwizdanie, czy syczenie, i dziwaczne słowa nieboszczki?

— Nie mam pojęcia.

— Jeśli zestawisz owo gwizdanie w nocy z obecnością bandy Cyganów, mających ściśle stosunki ze starym doktorem, bardzo prawdopodobne jest przypuszczenie, że ma on interes w tem, by przeszkodzić małżeństwu pasierbicy; wzmiankę umierającej o wstędze i wreszcie fakt, że miss Helena Stoner słyszała dźwięk metaliczny, który mógł być wywołany wyjmowaniem jednej ze sztab żelaznych przy okiennicach, to zdaje mi się, że z tej strony należy szukać wyjaśnienia tajemnicy.

— Ale w takim razie co robili owi Cyganie?

-- Nie mam najlżejszego wyobrażenia.

— Twoje wywody nie są bynajmniej przekonujące.

— Podzielam w zupełności to zdanie i dlatego właśnie jedziemy dzisiaj do Stoke Moranu. Chcę stwierdzić na miejscu, czy przeszkody, jakie stoją nam w drodze do wyświeatlenia sprawy, są niepokonane, czy też zdołamy je usunąć. Ale, co u diabła!...

Okrzyk ten wyrwało memu towarzyszkowi nagle otworzenie się drzwi i wejście mężczyzny niezwykłego wzrostu. Ubranie jego było szczególną mieszaniną stroju dżentlemana i rolnika; miał bowiem



na sobie długi surdut, cylinder i wysoko zachodzące kamasze; w ręku trzymał bat myśliwski. Przybysz był taki wysoki, że kapelusz jego sięgał framugi drzwi, a taki baczysty, że zapełniał swoją postacią cały otwór drzwi.

Twarz szeroka, zorana tysiącami zmarszczek, ogorzała od słońca, nosiła piętno najnikczemniejszych namiętności. Spojrzenie przybyłego spoczywało kolejno na każdym z nas:—oczy wpadnięte, o białkach żółtych, nos zakrzywiony, śpiczasty, sprawiały, że nieznamy przypominał starego drapieżnego ptaka.

— Który z was jest Holmes? — zapytał ten dziwaczny jegomość.

— Ja, panie; ale radbym wiedzieć z kim mam honor mówić—rzekł mój towarzysz, nie tracąc zimnej krwi.

— Doktor Grimesby Roylott, of Stoke Moran.

— Bardzo mi przyjemnie—odparł Holmes słodkim tonem; — proszę, niech pan doktor zechce usiąść.

— Ani myślę. Moja pasierbica była tutaj. Śledziłem ją. Co ona panu opowiadała!

— Powietrze, jak na tę porę jest bardzo zimne—odpowiedział Holmes.

— Co ona panu powiedziała? — wrzasnął starzec wściekły.

— Ale, ale, słyszałem, że krokosze będą bardzo piękne w tym roku — ciągnął dalej mój przyjaciel, bynajmniej nie zbity z tropu.

— Hola! a więc pan nie chcesz mi odpowiedzieć—zawołał nasz gość, przybliżając się i wywi-

jając batem. Znam ja cię, łotrze jakiś! Słyszałem już o tobie. Jesteś Holmesem.

Mój przyjaciel uśmiechnął się.

— Holmesem, człowiekiem, który wtrąca się do nie swoich rzeczy.

Mój przyjaciel uśmiechał się dalej.

— Holmesem, czyszcicielem butów ze Scotland yardu\*).

Holmes tym razem roześmiał się na całe gardło.

— Zaciekawiasz mnie pan. Proszę tylko, jak pan będziesz wychodził, zechciej dobrze zamknąć drzwi, bo narażasz nas pan na przeciągi.

— Pójdę, jak powiem wszystko, co mam na wątrobie! Zabraniam panu wtrącać się do moich spraw. Wiem, że panna Stoner była tutaj. Szpiegowałem ją! Jestem człowiekiem niebezpiecznym dla każdego, kto mi stawia opór. Spójrzyj pan!

Podszedł szybko do kominka, chwycił wielką, śniadą dłonią pogrzebacz i zgiął go we dwoje.

— A więc trzymaj się pan zdaleka!—wrzasnął i, cisnąwszy pogięty pogrzebacz, wyszedł wielkimi krokami.

— Miły jegomość, ani słowa — rzekł Holmes, śmiejąc się.—Nie jestem wprawdzie taki wielkolud, jak on, ale, gdyby był został dłużej, przekonałby się, że uścisk mojej pięści dorówna uściskowi jego dłoni.

---

\*) Urząd policyi londyńskiej. (Przyp. tłómacz.)

To mówiąc, podniósł stalowy pogrzebacz i wyprostował go jednym zamachem.

— Patrzcie, co za zuchwalstwo! brać mnie za zwyczajnego policyanta! To zająście dodaje uroku całej sprawie. Spodziewam się tylko, że nasza klientka nie odpokutuje za swoją nieostrożność, za to, że pozwoliła się wyszpiegować. A teraz, Watsonie, każemy sobie podać śniadanie, potem pójdę do izby syndykatu lekarzy, gdzie znajdę pewnie niektóre pożyteczne wskazówki.

Była już prawie pierwsza, gdy Sherlock Holmes powrócił. Trzymał w ręku niebieską kartkę, zapisaną notatkami i cyframi.

— Widziałem testament nieboszczki—rzekł.— Trzeba było, żeby go dobrze zrozumieć, obliczyć wartość bieżącą depozytów, o których mowa. Cały dochód, który w chwili śmierci żony doktora wynosił blisko 1,000 funtów, stanowi teraz tylko 750 funtów, z powodu obniżki wartości produktów rolniczych. Każda z córek, wychodząc za mąż, ma prawo do renty w kwocie 250 funtów. Oczywiście rzecz zatem, że gdyby były obie wyszły zamaż, ów miły jegomość musiałby się zadowolić mizerną sumką. Nawet małżeństwo jednej tylko spowodowałoby wielką lukę w jego dochodach. Moje dzisiejsze poszukiwania nie były zatem bezowocne, skoro dowiodły niezbiecie, że d-r Roylott ma wszelkie powody po temu, żeby się opierać małżeństwu swoich pasierbic. A teraz, Watsonie, sprawa zaczyna być poważna, nie zwlekajmy zatem, tembardziej, że stary wie, iż się nią zajmujemy. Jeśli jesteś gotów, siadajmy do dorożki i jedźmy na dwo-

rzec Waterloo. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś wsunął do kieszeni rewolwer. Eley Nr 2 jest znakomitym argumentem przeciw jegomościom, którzy mogą zgiąć we dwoje stalowy pogrzebacz. Weź jeszcze szczoteczkę do zębów i, w drogę.

Zdążyliśmy na pociąg, odjeżdżający do Leatherhead, gdzie, w zajęździe stacyjnym, wynajęliśmy powóz i bez zwłoki ruszyliśmy w drogę.

Dzień był cudny, prawdziwie wiosenny, lekkie, mleczne obłoki przesłaniały od czasu do czasu promienne słońce. Na drzewach i płotach przydrożnych lśniły już wielkie pąki, a w powietrzu unosiła się orzeźwiająca woń wilgotnej ziemi.

Co za kontrast między budzącą się do nowego życia przyrodą, a smutnym celem naszej wyieczki!

Mój towarzysz siedział ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, nasunął kapelusz na oczy, głowę opuścił na piersi, zatopiony w myślach. Naraz drgnął, uderzył mię w ramię i, wskazując na łąki, rzekł:

— Patrz.

Dostrzegłem gęsty park, wznoszący się łagodnie w górę. Między drzewami ukazywał się szary gontowy dach bardzo starego domu.

— Stoke Moran?—spytał.

— Tak jest, panie, to dom doktora Grimesby Roylott'a—odparł woźnica.

— Zaczęli tam roboty restauracyjne — rzekł Holmes—właśnie tam jedziemy.

— A tam jest wioska — rzekł znów woźnica, wskazując grupę dachów w pewnej odległości na na lewo;—ale, jeśli panowie chcą się dostać do do-

mu, bliżej będzie przejść przez tę baryerę, a potem ścieżką przez pola ot tam, gdzie chodzi jakaś pani.

— Zdaje mi się, że to miss Stoner—zauważył Holmes, przystaniając oczy dłońią, by lepiej widzieć.— Tak — dodał, zwracając się do woźnicy—to dobry pomysł; pójdziemy.

Zapłaciwszy woźnicy, wysiedliśmy i nasz wehikul zawrócił do Leatherhead.

— Niech ten chłopak myśli, że jesteśmy architektami i przyjechaliśmy tutaj na roboty, tak będzie lepiej — rzekł Holmes, przeskakując przez baryerę.—Dzień dobry, miss Stoner. Jak pani widzi, jesteśmy wierni danemu słowu.

— Czekałam na panów z taką niecierpliwością!—zawołała, witając nas gorącym uściskiem dłoni.—Wszystko składa się jaknajlepiej. Doktor Roylott pojechał do miasta i prawdopodobnie nie wróci przed wieczorem.

— Mieliśmy przyjemność poznać go — rzekł.

I w kilku słowach opowiedział wizytę doktora. Miss Stoner pobladła jak chusta.

— Boże wielki!—zawołała — a więc mnie śledził.

— Najwidoczniej.

— Jest taki przebiegły, że nigdy nie mogę być bezpieczna. Co on powie, jak wróci?

— Niech się ma na baczności, bo mógłby natrafić na przebieglejszego jeszcze. Musi pani dziś w nocy zamknąć drzwi od swego pokoju na klucz. Jeśli zechce użyć gwałtu, zabierzemy panią do ciotki w Harrow. A teraz, nie traćmy czasu i niech nam pani zaraz pokaże pokoje, które mamy zbadać.

Dom był z szarego kamienia, tu i owdzie już omszałego, a składał się z pawilonu głównego i dwóch skrzydeł po obu stronach zbudowanych w półkole. W jednym z tych skrzydeł wszystkie okna były zniszczone i zabite deskami, a dach zapadnięty nadawał tej części budynku pozór ruiny. Część środkowa nie była w lepszym stanie, ale prawe skrzydło wydawało się nowsze; franki w oknach i niebieskawy obłok dymu, unoszący się z kominów, wskazywały, że ten zakątek był zamieszkały. Przy murze wznosiło się rusztowanie, mur był przebity, ale nie pracował ani jeden robotnik. Holmes przeszedł wzdłuż i wszerz trawnik, źle utrzymany zresztą, i z największą uwagą obejrzał okna z zewnątrz.

— Zdaje mi się, że to jest okno od pokoju pani; a to w środku od pokoju siostry pani, to zaś, najbliższe pawilonu głównego, od pokoju doktora Roylott'a.

— Tak jest. Ale ja zajmuję teraz pokój środkowy.

— Dopóki trwają roboty... Ale, ale, zdaje mi się, że reparacya tego muru nie była tak gwałtownie potrzebna?

— Nawet wcale nie; mojem zdaniem to po prostu pretekst, ażeby mnie zmusić do zmiany pokoju.

— Al... to dosyć prawdopodobne. Druga strona tego skrzydła zajęta jest przez korytarz, na który wychodzą wszystkie te pokoje; czy tak?... Przepuszczam, że ma okna!

— Tak, ale bardzo małe, za wąskie nawet, żeby kto przez nie wszedł.

— W każdym razie, skoro panie obie zamykały na noc drzwi na klucz z tej strony nikt dostać się nie mógł. Może pani zechce pójść do swego pokoju i zamknąć okienicę od wewnątrz.

Miss Stoner spełniła to żądanie, a Holmes, zbadawszy dokładnie okno otwarte, próbował wszystkimi sposobami wylamać okienicę, ale daremnie. Nie było najmniejszej szpary, przez którą możnaby wsunąć choćby nóż, by unieść sztabę,

Zaopatrzony w lupę obejrzał zblizka zawiasy, ale były z grubego żelaza i mocno obsadzone w murze.

— Hm—rzekł zakłopotany, drapiąc się w podbródek — wszystkie moje wnioski wychodzą z fałszywego założenia. Nikt nie mógł wyjść tędy, jeśli okienice były zamknięte. Zobaczmy, czy zbadanie wnętrza dostarczy nam jakich wskazówek.

Przez małe drzwi dostaliśmy się na korytarz, wybielony wapnem, na który wychodziły owe drzwi od sypialni.

Holmes pominął trzecie i weszliśmy odrazu do tego pokoju, gdzie mieszkała na razie miss Stoner gdzie jej siostra umarła.

Pokój był ładny, niezbyt wysoki i miał duży kominek, jak zazwyczaj w starych domach.

W jednym kącie stała komoda z ciemnego drzewa, w drugim wąskie łóżko, pomalowane na biało, na lewo było okno i gotownia. Te trzy sprzęty, dwa krzeselka trzcinowe i kawałek dywanu wiltonowskiego stanowiły całe umeblowanie.

Ściany były pokryte dębowymi boazeryami, poczerniałemi, stoczonemi przez robaki; staremi niewątpliwie, jak budowla sama. Holmes usunął jedno krzesło w kąt, usiadł i, milcząc, rozglądał się po wszystkich kątach i zakątkach pokoju, jakgdyby chciał wrazić w swą pamięć najdrobniejszy szczegół.

— Dokąd prowadzi ten dzwonek? — spytał w końcu, wskazując sznurek, zawieszony w głowach łóżka; chwast od sznurka spadał na poduszkę.

— Do pokoju służącej.

— Ten sznurek wydaje się nowszy od reszty umeblowania.

— Tak, zawieszony został przed dwoma laty mniej więcej.

— Przypuszczam, że stało się to na żądanie siostry pani.

— Nie, zdaje mi się, że nie używała go nigdy. Przyzwyczaiłyśmy się obchodzić bez służ.

— A zbyteczne było zawieszać tu taki ładny sznurek od dzwonka. Teraz pozwoli pani, że zbadam podłogę?

Rzucił się plackiem na ziemię i znów oglądał drobiazgowo przez lupę szpary w posadzce.

Obejrzał nawet boazeryę na ścianach, poczem zbliżył się do łóżka, obejrzał je na wszystkie strony, niemniej i mur, przy którym stało.

Wreszcie wziął sznurek od dzwonka i pociągnął.

— A to co! fałszywy?

— Jakto? Nie dzwoni!



— Nie, nawet nie przytwierdzony do drutu. O! ale to zaczyna być bardzo zajmujące. Patrzcie, dzwonek jest przyczepiony do haczyka, tuż nad wentylatorem.

— Ale to niesłychane! Nie zauważyłam tego nigdy!

— Szczególne, szczególne! — mruknął Holmes, pociągając za sznurek. — Są tu w tym pokoju rzeczy bardzo dziwne. Naprzykład co to za idyota budowniczy, który urządził wentylator na ścianie między dwoma pokojami, kiedy powinien był po prostu umieścić go w murze zewnętrznym?

— Ten wentylator jest również nowy—odparła miss Stoner.

— Datuje się pewnie mniej więcej z tego samego czasu co sznurek od dzwonka? — spytał Holmes.

— Tak jest, przeprowadzono wówczas różne drobne roboty restauracyjne.

— Szczególne to były roboty; sznurek od nieistniejącego dzwonka i wentylator, nie odświeżający powietrza. Prosimy panią o pozwolenie obejrzenia pokoju sąsiedniego.

Pokój doktora Grimbesb'yego Roylott'a był większy od tego, jaki zajmowała jego pasierbica, ale umeblowany z tą samą prostotą. Łóżko żelazne, półeczka pełna książek, przeważnie naukowych, fotel przy łóżku, krzesło drewniane pod ścianą, stół okrągły i wielka skrzynia stanowiły główne sprzęty tego pokoju; Holmes obszedł go zwolna dokoła, oglądając każdy przedmiot z wielką baczością.

— Co to jest? — spytał, uderzając dłonią w wieko skrzyni.

— Papiery osobiste mego ojczyma.

— A!... czy pani je widziała?

— Raz jeden tylko, przed kilku laty. Pamiętam, że skrzynia była pełna tych papierów.

— Czy niema tam przypadkiem kota?

— Nie, co za zabawny pomysł?

— Ale, niech pani spojrzy... a to co?

Wskazał na stojący na skrzyni spodeczek z mlekiem.

— Nie, w całym domu nie mamy kota... Ale mamy panterę i pawiana.

— O! tak! oczywiście! Pantera jest przecież tylko odmianą kociego rodzaju. Ale wyobrażam sobie, że spodeczek mleka nie wystarczyłby jej. W tem coś jest... radbym wielce upewnić się, co to takiego.

Przykucnął przed krzesłem drewnianem i obejrzał je z największą uwagą.

— Dziękuję. Nie mam już żadnych wątpliwości — rzekł, wstając i chowając lupę do kieszeni.—Oho! oto przedmiot bardzo ciekawy!

Wskazywał palcem na bacik, wiszący w pobliżu łóżka, związany na końcu tak, że tworzył ruchomą pętlicę.

— A co myślisz o tem, Watson'ie?

— Bat, jak każdy inny. Nie wiem tylko dlaczego ma pętlicę.

— I mnie się zdaje, że to niezwykle, prawda? Ach! moi biedni przyjaciele! świat jest szkaradny, a gdy człowiek oddaje inteligencyę swoją

na usługi zbrodni, wówczas można się spodziewać najgorszych podłości. Zdaje mi się, miss Stoner, że obejrzałem już wszystko dokładnie i, jeśli pani pozwoli, wyjdziemy teraz przez dom.

Nie widziałem jeszcze na czole mego przyjaciela takiej posępnej chmury jak w chwili, gdy opuszczaliśmy pole jego badań. Przeszliśmy kilkakrotnie z miss Stoner przez trawnik, nie śmiejąc zakłócić jego zadumy, gdy nareszcie sam przerwał milczenie.

— Miss Stoner—rzekł — musi pani bezwarunkowo stosować się w najdrobniejszych szczegółach do moich poleceń.

— Spełnię ja jaknajściślej, może pan być pewien.

— Sprawa jest taka ważna, że pani nie może wcale się wahać. Wechodzi tu w grę życie pani.

— Ufam panu najzupełniej!

— Przedewszystkiem mój przyjaciel i ja musimy spędzić noc w pokoju pani.

Zdumienie miss Stoner równało się mojemu.

— Tak trzeba. Zaraz powiem dlaczego. Wszak to gospodę wiejską ztąd widzimy?

— Tak jest, gospodę „pod Koroną“.

— Bardzo dobrze. Ztamtąd widać chyba te okna?

— Naturalnie.

— Gdy ojczym pani wróci, zamknie się pani u siebie, pod pozorem migreny. Potem, gdy on pójdzie już do swej sypialni, otworzy pani okienice, uchyli okna, postawi w oknie lampę, by nam służyła za sygnał i, zabrawszy wszystko, co pani mo-

że być do noclegu potrzebne, pójdzie pani do swego dawnego pokoju. Nie wątpię, że pomimo robót, może pani tam jedną noc spędzić.

— O! tak, doskonale.

— Reszta do nas należy.

— Ale, co pan zamierza?

— Spędzimy noc w pokoju pani, by wykryć przyczynę odgłosu, który panią tak przeraził.

— Zdaje mi się, panie Holmes, że pan już jest pewien swego—rzekła miss Stoner, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Może.

— A więc, na miłość boską, powiedz mi pan, co spowodowało śmierć mojej siostry?

— Chciałbym mieć dowody pewniejsze, zanim powiem cokolwiek.

— Może mi pan przynajmniej powiedzieć, czy mam słuszność przypuszczając, że umarła z przestraszenia?

— Nie sędzę i przypuszczam przyczynę dotykalszą. A teraz, miss Stoner, musimy panią pożegnać, bo, gdyby dr Royslott powrócił i zastał nas tutaj, zabiegi nasze spełzyłyby na niczem. Do widzenia, niech pani będzie dobrej myśli, bo jeśli mnie pani posłucha i zastosuje się do wskazówek, niebawem nie będzie groziło pani żadne niebezpieczeństwo.

Z łatwością dostaliśmy w zajeździe „pod Koroną“ dwa pokoje na pierwszym piętrze; z okien naszych widzieliśmy bramę wjazdową i zamieszkałe skrzydło zamku Stoke Moran. O zmierzchu ujrzeliśmy przejeżdżającego doktora Grimesby'ego Roy-

lott'a. W kilka chwil po wjechaniu powozu do parku, światło, które zajaśniało między drzewami, wskazało nam, iż właściciel starego zamku był w jednym z salonów.

Dokoła nas zalegała coraz większa ciemność.

— Wiesz co, Watson'ie — odezwał się nagle Holmes — mam pewne skrupuły, nie wiem, czy cię zabrać z sobą tej nocy. Ta wyprawa połączona jest z niemałym niebezpieczeństwem.

— Czy mogę ci być użyteczny?

— Więcej, niż użyteczny.

— W takim razie idę z tobą.

— Jestem ci bardzo wdzięczny.

— Ale, wspomniałeś o niebezpieczeństwie... Widocznie zebrałeś podczas zwiedzania domu więcej wskazówek, niż ja.

— Nie, ale sądzę, że zastanawiałem się więcej. To, co ja widziałem, widziałeś i ty również.

— Nie spostrzegłem nic godnego uwagi, oprócz tego sznurka od dzwonka i nie mogę zrozumieć jakiego celu?

— Widziałeś i wentylator?

— Widziałem, ale podobna komunikacja między dwoma pokojami nie wydaje mi się rzeczą taką nadzwyczajną; wentylator jest zresztą taki mały, że szeszur przedostałby się przez otwór z trudnością.

— Zanim przestąpiłem próg tego domu, byłem pewien, że znajdę tam wentylator.

— Cóż znowu! a to z jakiego powodu?

— Przypominasz sobie, że miss Stoner powiedziała nam, iż jej siostra czuła woń cygar doktora Roylotta. Otóż, podsunęło mi to oczywiście

myśl, że istnieje jakaś komunikacya między tymi dwoma pokojami, komunikacya niezbyt widoczna jednak, skoro w protokule sędziego śledczego niema o niej wzmianki. Ztąd wywnioskowałem, że musi tam być wentylator.

— I cóż widzisz w tem niezwykłego?

— Hm, jest to co najmniej ciekawy zbieg okoliczności. Urządzają nad łóżkiem wentylator, zawieszają sznurek, a kobieta, która w tem łóżku sypia, umiera śmiercią szczególną... czy cię to wszystko nie uderza?...

— Nie widzę w tem żadnego związku.

— Czy nie zauważyłeś nic szczególnego przy łóżku?

— Nie.

— Jest przytwierdzone do podłogi. Nie robi się tego bez powodu.

— Oczywiście.

— Miss Stoner nie mogła tedy przesunąć swego łóżka. Musiało stać zawsze pod wentylatorem i sznurkiem, mówię pod sznurkiem, bo dzwonka tam nie było.

— Słuchaj!—zawołałem—zaczynam powoli rozumieć twoje domysły. Przybywamy wczas, ażeby przeszkodzić zbrodni strasznej i wymyślnej.

— Bardzo strasznej i bardzo wymyślnej. Gdy lekarz wejdzie na złą drogę, zamienia się w najpotworniejszego przestępcę, bo ma za sobą zimną krew i wiedzę. Palmer i Pritchard byli pierwszymi swego zawodu. Ten jegomość mierzy jeszcze wyżej, ale, zdaje mi się, Watson'ie, że będziemy sprytniejsi od niego. W oczekiwaniu stwierdzenia

nia tych wszystkich okropności, wypalmy fajkę i usiłujmy myśleć przez kilka godzin o rzeczach mniej ponurych.

Około godziny 9-ej światło, blyszczące między drzewami, zagasło i zapanowała znów w stronie Stokke Moranu zupełna ciemność. Minęły dwie długie godziny. Wybiła wreszcie 11-sta i w tejże chwili jasny blask rozproszył ciemności wprost nas.

— Nasz sygnał!—zawołał Holmes, zrywając się na równe nogi — to światło pochodzi niechybnie ze środkowego okna.

Wychodząc objaśnił oberżystę, że idziemy w odwiedziny do znajomego, u którego może noc spędzimy. W chwilę później byliśmy na gościńcu, dążąc do światła, które nam służyło za przewodnika w nocej wyprawie, a lodowaty wicher smagał nas po twarzy.

W murze, okalającym park, było tyle wyłomów, że z łatwością dostaliśmy się do wnętrza. Niebawem przeszliśmy przez duży trawnik i zabieraliśmy się do wejścia przez okno, gdy z altanki warzynowej wyskoczył nagle jakiś karzeł potworny, rzucił się na trawę, skręcony w kłębek, poczem zerwał się, uciekł i znikł w ciemnościach.

— Boże Wielki!—szepnąłem—widziałeś?

Holmes był równie jak ja zdumiony i ścisnął mnie nerwowo za rękę. W następnej chwili jednak zaśmiał się zcicha i szepnął mi do ucha:

— Rozkoszny dom! to pawian.

Zapomniałem zupełnie o ulubieńcach doktora. Miał przecież i panterę; może niebawem uczujemy ją na swoich ramionach! Wyznaję, że byłem o wie-

le spokojniejszy, gdy, zdjąwszy obuwie, znalazłem się wraz z Holmes'em w pokoju. Towarzysz mój zamknął pocichu okienice, postawił lampę na stole i rozejrzał się dokoła. Wszystko było jak we dnie, nie się tu nie zmieniło. Wówczas, zbliżywszy się do mnie na palcach, Holmes przytknął do ust dłoń złożoną w kułak i szepnął mi do ucha głosem tak cichym, że zaledwie mogłem rozróżnić co mówi.

— Najłżejszy szelest byłby zabójczy dla naszych zamiarów.

Skinąłem głową na znak, że usłyszałem.

— Musimy zgasić światło. Dostrzegłby je przez wentylator.

Odpowiedziałem ruchem.

— Nie zasypiaj. Mógłbyś to opłacić życiem. Trzeba, żebyś miał rewolwer pod ręką na wypadek potrzeby; ja usiądę na łóżku, a ty się usadowisz na tem krześle.

Położyłem rewolwer na rogu stołu.

Holmes przyniósł ze sobą długą, cienką laskę, którą umieścił przy sobie na łóżku. Obok postawił pudełko zapalek i kawałek świecy, poczem zgasił lampę i pozostaliśmy w zupełnej ciemności. Nie zapomnę nigdy tego denerwującego czuwania.

Nie słyszałem najłżejszego dźwięku, nawet odgłosu oddechu, a mimo to wiedziałem, że towarzysz mój jest tuż przy mnie, że siedzi z otwartymi oczyma, w takim samym jak ja naprężeniu nerwowem. Okienice nie przepuszczały najmniejszego promienia światła, dokoła nas panował mrok głęboki.

Zzewnątrz dobiegał nas niekiedy krzyk ptaka nocnego, a raz dosłyszeliśmy tuż pod oknem



przeciągłe miauczenie, które nam dowiodło, że pantera nie była bynajmniej na uwięzi.

W dali odzywały się poważne dźwięki zegara parafialnego, wydzwaniającego kwadrans w przerwach, które nam się wydawały nieskończone. Wybiła północ, potem godzina pierwsza, druga, trzecia, a my siedzieliśmy ciągle w milczeniu, oczekując jakiegoś zajścia.

Nagle, w kierunku wentylatora, ukazał się blask, który zagasł niebawem, ale pozostała po nim silna woń oleju i rozgrzanego metalu. Widocznie zapalono tak zwaną latarnię ślepa \*).

Usłyszałem lekki szelest, poczem znów zapanaowało głuche milczenie, jakkolwiek woń wzmagala się. Przez pół godziny jeszcze siedziałem bez ruchu. Nagle rozległ się dźwięk inny, bardzo łagodny i pieszczotliwy, jakby odgłos pary, uchodzący z imbryka metalowego. W chwili gdy się rozszedł, Holmes zeskoczył z łóżka, zapalił zapałkę i zaczął z całej siły uderzać laską po sznurku od dzwonka.

— Widzisz go, Watson'ie? — zawołał. — Widzisz go?

Nie widziałem nic zgoła. Gdy Holmes zapalił zapałkę, dosłyszałem syk głuchy, chociaż wyraźny, ale blask światła nie pozwolił moim zmęczonym oczom dojrzeć tego, w co towarzyszył mój uderzał z taką zaciekłością; mogłem jednak rozróżnić jego twarz bladą śmiertelnie, na której malowało się przerażenie i odraza.

\*) Człowiek, zaopatrzony w taką latarnię sam widzi wśród ciemności, nie będąc jednak widzianym. (Przyp. tłóm.).

Holmes przestał uderzać w sznurek i patrzył na wentylator, gdy naraz przerwał ciszę nocną krzyk taki straszny, jakiego dotąd jeszcze nie słyszałem, i przeszedł w ryk, wyrażający jednocześnie ból, trwogę i wściekłość.

Mówią, że ten krzyk wyrwał ze snu wieś całą, a nawet i bardziej oddalone probostwo; mnie ściał mrozem krew w sercu: Stałem, jak skamieniały, ze wzrokiem utkwionym w Holmes'a.

On również patrzył na mnie, a gdy zaległa znów cisza, krzyknąłem, z trudnością tehu dobywając:

— Co się stało?

— Rzecz skończona—odparł Holmes—i to może najlepsze rozwiązanie. Weź rewolwer, wejdźmy teraz do pokoju doktora Royslott'a.

Poważny, zamyślony, zapalił lampę i wyszedł pierwszy na korytarz. Zastukał dwukrotnie do drzwi, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Wówczas nacisnął klamkę i poprzedzając mnie, wszedł z rewolwerem w rękę.

Szczególny widok przedstawił się naszym oczom.

Latarnia ślepa, stojąca na stole, oświetlała skrzynię, której wieko było odchylone. Przy stole siedział na krześle drewnianem doktor Grimesby Royslott, ubrany w szary szlafrok, na bosych stopach miał papucie tureckie.

Na kolanach jego spoczywał bat, który zauważyliśmy we dnie nad jego łóżkiem. Doktor miał głowę w tył przechyloną, a oczy wpatrzone uparcie w róg sufitu. Na czole widniała dziwaczna żół-

ta opaska, w centki brunatne, która obciskała mu głowę. Nasze wejście nie wywołało z jego strony najlżejszego ruchu.

— Wstęga! wstęga centkowana! — szepnął Holmes.

Postąpiłem krok naprzód. W tej samej chwili ów dziwaczny strój głowy poruszył się i płaski, trójkątny leń wstrętne go węza zwrócił się ku nam.

— Żmija błotna!—zawołał Holmes.—Najjadowitszy wąż indyjski. Doktor umarł w dziesięć sekund po ukąszeniu. Ząb za ząb, oko za oko. Wrzucimy napowrót to stworzenie do jego kryjówki. Umieścimy miss Stoner [pod jakim innym dachem gościnnym i donieśmy policji hrabstwa co się stało.

Mówiąc to, Holmes wziął bat z kolan trupa, poczem zarzucił gadowi pętlicę, zerwał go z przerażającego piedestału, do koła którego był obwiązany, zaniósł w wyciągniętej ręce do skrzyni, gdzie go wrzucił i zamknął wieko.

Tak to umarł Grimesby Roylott of Stoke Moran.

Zbytecznem jest przedłużać opowieść i tak już długą, opisywaniem, w jaki sposób, opowiedziawszy prawdę pannie Stoner, zawieźliśmy ją rannym pościągami do owej ukochanej ciotki w Harrow. Śledztwo urzędowe wykazało, że doktor znalazł śmierć, bawiąc się nierozważnie niebezpiecznym gadem.

Holmes, powróciwszy nazajutrz do Londynu, wyświetlił mi ostatecznie tę ponurą sprawę.

— Moje pierwsze wnioski — mówił — były zupełnie błędne, co wykazuje, mój drogi, jak niebezpiecznie jest budować cokolwiek na niewystarczających danych. Obecność Cyganów i użycie wy-

razu „wstęga” przez biedną dziewczynę, dla wyjaśnienia tego, co dostrzegła przy blasku zapalki, wystarczyło do wprowadzenia mnie na trop fałszywy. Mam tylko jedną zasługę, a mianowicie, że zmieniłem taktykę skoro tylko stało się dla mnie oczywistem, że niebezpieczeństwo, jakie mogło grozić mieszkańcowi owego pokoju, było zupełnie niezależne od drzwi i okna.

Uwagę moją zwróciły szybko, jak ci już powiedziałem, wentylator i sznurek od dzwonka, zawieszony nad łóżkiem. Odkrycie, że sznurek nie miał nic wspólnego z dzwonkiem, i że łóżko było przymocowane do posadzki podsunęło mi podejrzenie, iż sznurek musiał służyć jakiemuś przedmiotowi, który, przeszedłszy przez otwór, zesuwał się na łóżko.

Wobec tego przyszedł mi oczywiście na myśl wąż, a gdy zestawilem z tem fakt, że doktor otrzymywał zwierzęta z Indyi, czułem, że jestem na tropie właściwym. Człowiek wykształcony, a pozbawiony sumienia, który żył na Dalekim Wschodzie, musiał wpaść na myśl zastosowania trucizny, niemożliwej do rozpoznania drogą rozbioru chemicznego.

Szybkość, z jaką trucizna ta działała, była jedną zaletą więcej z jego punktu widzenia. Sędzia śledczy musiałby być obdarzony bardzo bystrym wzrokiem, by mózdz rozpoznać drobne dwa ślady pozostałe po ukłóciu zębów jadowitych. Przypomniałem sobie także gwizdanie. Doktor musiał oczywiście wzywać znów do siebie węża, zanim dzień zaświtał, inaczej bowiem ofiara mogłaby go zoba-

czyć. Wytresował go tedy, prawdopodobnie przy pomocy mleka, które widzieliśmy, tak, że wracał na wezwanie. Wpuszczał go przez wentylator w porze, którą uważał za stosowną, pewien, że gad będzie pełzał wzdłuż sznurka i wejdzie na łóżko. Kilka nocy mogło minąć bez skutku, wąż mógł nie ukąsić ofiary, ale prędzej czy później stać się to musiało.

Do wniosku tego doszedłem, zanim jeszcze znalazłem się w pokoju doktora. Zbadanie jego krzesła dowiodło nam, jak sobie przypominasz, że miał zwyczaj wchodzić na nie, co było konieczne, by mógł dosięgnąć wentylatora. Widok skrzyni, spodeczka z mlekiem i bata z pętlicą rozproszył ostatnie wątpliwości, jakie mogły mi zostać. Odgłos metaliczny, zasłyszany przez miss Stoner, wywołało widocznie szybkie zamykanie skrzyni.

Skoro zaś ustaliło się we mnie to przekonanie, wiesz jakie przedsięwziąłem środki, by uzyskać dowód ostateczny. Słyszałeś, jak ja, syczenie gadu, zapaliłem niezwłocznie światło i zaatakowałem go, nie tracąc jednej chwili.

— Co wywołało ten skutek, że cofnął się tą samą drogą, którą się wsunął.

— I wpadł na swego pana. Niektóre moje ciosy dosięgły go niewątpliwie i rozwścieczyły do tego stopnia, że rzucił się na pierwszą osobę, jaka mu się nawinęła. Jestem w ten sposób pośrednio odpowiedzialny za śmierć doktora Grimesby'ego Roylott'a, ale nie mogę powiedzieć, żeby ta odpowiedzialność zbyt wielkim ciężarem przytłaczała moje sumienie.

## BUKI PURPUROWE.

— Człowiek, który kocha sztukę dla sztuki— rzekł Sherlock Holmes, rzucając na ziemię *Daily Telegraph*, gdzie przeczytał ogłoszenia — znajduje często największą przyjemność w jej przejawach najmniej ważnych. Rad jestem wielce, że mogę stwierdzić, Watson'ie, iż doskonale zrozumiałeś tę prawdę i, opisując, a nawet powiem upiększając łaskawie nasze przygody, dałeś pierwszeństwo nietyle t. zw. *causes célèbres* i procesom sensacyjnym, w jakie byłem wmieszany, ile tym wypadkom, samym przez się powszednim, lecz następującym sposobność do dedukcyi i syntezy logicznej, które stanowią moją specjalność.

— A jednakże — odparłem z uśmiechem—nie sędzę, żebym był zupełnie rozgrzeszony ze zbrodni sensacyjności, jaką zarzucono tym opowieściom.

— Twój błąd — rzekł, biorąc szczypcami żarzacy węgiel dla zapalenia długiej fajki z drzewa

wiśniowego, która zazwyczaj zastępowała glinianą, gdy był w usposobieniu raczej bojowem, niż rozmyślającym—twój błąd polega na tem, że usiłowałeś nadać koloryt i życie każdej z tych opowieści, zamiast ograniczyć się ściśle opisaniem metody wynuwania wniosków, co jedynie jest w nich interesującym.

— Zdaje mi się, że oddałem ci pod tym względem zupełną sprawiedliwość—odparłem chłodno—bo dotknęło mnie to przeświadczenie o własnej wartości, które było taką wybitną cechą niezwykłego charakteru mego przyjaciela.

— Nie, nie kieruje mną samolubstwo lub miłość własna — odrzekł, odpowiadając według zwyczaju, raczej myśłem, niż słowem; — jeśli domagam się zupełnej sprawiedliwości dla swojej sztuki, to dlatego, że jest to rzecz nieosobista, po za obrębem mnie samego. Zbrodnie są pospolite, logika jest rzadką. Na logikę zatem powinieneś raczej kłaść nacisk, nie na przestępstwa. Obniżyłeś do poziomu prostych opowieści to, co powinno być raczej być szeregiem wykładów.

Tak prawił Holmes pewnego chłodnego poranku wiosennego.

Siedzieliśmy przy kominku, na którym płonął wesóły ogień. Gęsta mgła zasłaniała domy ponurej barwy, a okna przeciwległe, widoczne po przez te żółtawe obłoki, wyglądały jak plamy czarne i bezkształtne.

Gaz, palący się w pokoju, oświetlał obrus, porcelana i srebro—służący nie zdjął jeszcze nakrycia ze stołu—iskrzyły się w tym blasku. Scherlock Hol-

mes, mileżący przez cały ranek, pograżył się w czytaniu ogłoszeń całego szeregu dzienników; zaniechawszy nareszcie poszukiwań, dał folgę kwaśnemu humorowi, strofując mnie za moje błędy literackie.

— Z drugiej strony — rzekł znów po chwili mileżenia, w ciągu której wciągnął w siebie całe kłęby dymu i wpatrywał się w ogień — nie można bynajmniej oskarżać cię o sensacyjność, skoro między temi wszystkimi sprawami, któremi zechciałeś się zająć, jest znaczna część nie mających nic wspólnego ze zbrodnią w prawnym znaczeniu tego wyrazu. Drobną sprawą, w której usiłowałem być użyteczny królowi czeskiemu, szczególna przygoda miss Mary Sutherland, zajście, dotyczące człowieka z wargą wywiniętą i wypadek w dniu ślubu naszego arystokraty nie wchodzą w ścisły zakres prawa. Ale, obawiam się, że, chcąc uniknąć sensacyjności, wpadłeś potrosze w banalność.

— Przyznaję ci to, co do zakończenia; utrzymuję wszakże, iż opis sposobu postępowania był niezwykle oryginalny i zajmujący.

— Ba! mój drogi, co to obchodzi publiczność, tę publiczność, która nie umie wcale obserwować, która nie umiałaby rozeznąć tkacza po zębach, ani kompozytora po dużym palcu u lewej ręki, co obchodzą tę publiczność delikatne odcienia analizy i dedukcyi! Ale, w istocie rzeczy, jeżeli jesteś banalny nie mogę cię za to ganić, gdyż czasy wielkich spraw minęły. Człowiek, a przynajmniej człowiek zbrodniczy, zatracił wszelkie zuchwalstwo i wszelką oryginalność. Co zaś do mego rzemiosła, zwyrodnia się ono i przeradza na agencję do od-



najdywania zgubionych ołówków i zasilania radami pensyonarek, kończących nauki. Zdaje mi się, że zjechałem już na ostatni stopień. Ten list otrzymany dzisiaj, wydaje mi się ostateczną granicą upodlenia: czytaj i osądź sam.

Rzucił mi zmięty list. Wysłany był z Montague-Place, datę miał z dnia poprzedniego, a oto co zawierał:

„Szanowny Panie!

Pragnę bardzo zasięgnąć rady Pana w sprawie miejsca nauczycielki, jakie mi proponują. Będę u Pana jutro, o godzinie pół do jedenastej, jeżeli pora ta dla Pana dogodna.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku.

*Violetta Hunter*“.

— Czy znasz tę panią?—spytałem.

— Bynajmniej.

— Już jest pół do jedenastej.

— Tak, i to pewnie ona właśnie zadzwoniła.

— Sprawa będzie może bardziej zajmującą, niż przypuszczasz. Przypomnij sobie, już ci się tak nieraz zdarzyło.

-- Miejmy nadzieję! Wątpliwości nasze zostaną niebawem rozproszone, gdyż, jak mi się zdaje, osoba, o której mowa, nadchodzi.

Istotnie drzwi otworzyły się i weszła młoda dziewczyna, ubrana skromnie, ale przyzwoicie; twarz jej wesola, ożywiona, pokryta była piegami, jak jajko siewki, a swobodne obejście się wykazywało kobietę, przywykłą radzić sobie w życiu samodzielnie....

— Spodziewam się, że mi pan wybaczy, iż panu czas zabieram—rzekła do mego przyjaciela, który wstał, aby ją powitać;—ale spotyka mnie szczególna przygoda, a ponieważ nie posiadam ani krewnych, ani przyjaciół, nie mam się kogo poradzić, przeto pomyślałam sobie, że pan będzie może taki dobry i da mi jaką radę.

— Proszę, niech pani zechce usiąść. Szczęśliwy będę, jeśli mi się uda być pani użytecznym.

Widziałem, że mowa i obejście nowej klientki wywarły na Holmes'ie wrażenie korzystne. Spojrzał na mnie bystro swoim badawczym wzrokiem, poczem usiadł i słuchał, spuściwszy powieki i splótłszy dłonie.

— Byłam przez pięć lat nauczycielką—mówiła—w rodzinie pułkownika Spence Munro, ale dwa miesiące temu pułkownik został wysłany do Halifaxu, w Nowej Szkocji, a ponieważ zabрал ze sobą dzieci do Ameryki, pozostałam bez miejsca. Dałam ogłoszenia do dzienników, udawałam się do tych osób, które wzajem ogłaszały, iż potrzebują nauczycielki, ale bezskutecznie, tak, że moje skromne środki zaczęły się wyczerpywać i nie wiedziałam istotnie co ze sobą począć.

„W West-Endzie jest agencja Westaway'a, która zajmuje się specjalnie umieszczaniem nauczycielek: chodziłam tam co tydzień w nadziei, że znajdę miejsce.

„Westaway to nazwisko założyciela zakładu, ale kierowniczką jest niejaka miss Stoper. Przesiaduje w gabinecie, a kobiety, szukające zajęcia, czekają w przedpokoju — i są przyjmowane przez nią

oddzielnie. Miss Stoper przegląda książki swoje wobec każdej klientki, patrząc, czy ma miejsce, które mogłoby być dla niej odpowiednie.

„Gdy w tym tygodniu udałam się znów do agencji i weszłam z kolei do gabinetu, ze zdziwieniem spostrzegłam, że miss Stoper nie była sama. Obok niej siedział jakiś mężczyzna, niepospolitej tuszy, z twarzą bardzo miłą, o podbródku, który wydłużał się w fałdach aż do szyi; jegomość ten przyglądał się bardzo uważnie przez okulary paniom, które wchodziły. Na mój widok podskoczył na krześle i, zwracając się do miss Stoper, rzekł:

— Oto właśnie, czego mi trzeba, o niczem lepszem marzyć nie mogę. Doskonale! Wyśmienicie! — wołał z zapalem i zacierał ręce w zachwycie. Wydawał się taki uszczęśliwiony, że przyjemnie było patrzeć na niego.

„— Pani szuka miejsca? — spytał mnie.

„— Tak, panie.

„— Nauczycielki?

„— Tak, panie.

„— A jakiej pensyi pani żąda?

„— W ostatniem miejscu, u pułkownika Spence Munro, brałam 3 f. st. miesięcznie.

„— O! ho, ho! to wyzysk, to czysty wyzysk! — zawołał, podnosząc dłonie, jak człowiek oburzony; — jak można płacić taką nędzną pensyjkę takiej zachwycającej i wykształconej osobie.

„— Wiedza moja jest może mniejsza, niż sobie pan wyobraża — odpowiedziałam; — trochę francuskiego, trochę niemieckiego, muzyka, rysunki...

„— Ho, ho! — zawołał — nie w tem rzecz. Tu

chodzi o to, czy pani obejściem swoim jest istotnie damą. Jeśli nie, nie pożądana byłoby powierzanie dziecka, które może kiedyś odegrać wybitną rolę w historii swego kraju. Jeśli tak, to jaki dżentlemani mógł płacić sumę taką śmieszna? Pensya pani u mnie wyniesie na początek 60 f. st. rocznie.

— Zrozumie pan, panie Holmes'ie, że w położeniu, w jakim się znajdowałam, propozycya ta wydała mi się wprost nieprawdopodobną. Ów pan, dostrzegłszy może moje niedowierzanie, otworzył portfel i wydobyl banknot.

„— Mam zwyczaj—rzekł, uśmiechając się niesłychanie uprzejmie, tak, że oczy jego znikaly w fałdach tłustej twarzy—mam zwyczaj zaliczać nauczycielkom z góry połowę pensyi na pokrycie kosztów podróży i sprawunków koniecznych“.

— Nie spotkałam jeszcze człowieka równie milego i przewidującego. Ponieważ winna już byłam swoim dostawcom, przeto ta zaliczka wydała mi się wprost zrządzeniem Opatrzności. Mimo to nie mogłam się pozbyć uczucia nieufności; nie chciałam przeto zakończyć, nie będąc lepiej poinformowaną.

„— Czy mogę pana zapytać, gdzie pan mieszka?—rzekłam.

„— W Bukach Purpurowych, w Hampshirze, o pięć mil od Winchesteru. Okolica to, kochana pani, bardzo malownicza, a dom ma piętno staroświeckie, które mi nadaje wielki urok.

„— A jakie będą moje obowiązki? chciałabym wiedzieć.

„— Jedno dziecko, rozkoszny urwis sześciol-

letni. Ach! żeby pani widziała, jak on zabija karaluchy pantoflem! Pac, pac! pac! trzy trupy w mgnieniu oka!“—Przechylił się na krześle i śmiał się do rozpuku, tak, że oczy jego znikły ponownie w fałdach twarzy.

„— Byłam trochę zdziwiona zabawami tego dziecka, ale ze śmiechu ojca wywnioskowałam, że żartuje.

„— Nie będę miała zatem innych obowiązków — rzekłam — prócz zajmowania się jednym dzieckiem?

„— Owszem, droga pani, czekają panią jeszcze inne—zawołał. — Będzie pani musiała wykonywać zlecenia mojej żony, o tyle oczywiście, o ile będą tego rodzaju, że dama będzie mogła je spełniać bez przekroczenia granic konwenansów świątowych. Pani nie ma nic przeciw temu, co?

„— Będę szczęśliwa, stając się użyteczną.

„— Doskonale. Przejdźmy teraz do stroju. Pod tym względem, naprzykład, jesteśmy trochę manjakami, widzi pani, manjakami, ale ludźmi dobrymi. Gdybyśmy zażądali od pani, żeby pani nosiła jakąś suknię przez nas darowaną, nie opierałaby się pani naszej małej fantazyi, co?

„— Nie—odparłam, bardzo zdziwiona.

„— A gdyby od pani zażądano, żeby pani usiadła tu lub tam, nie raziłoby to pani?

„— O! nie.

„— Albo żeby pani obcięła włosy przed przybyciem do nas?

„Nie dowierzałam własnym uszom. Jak pan widzi, panie Holmes, mam włosy bujne, a odcień

ich bronzowawy, jest niezwykły. Mówiono mi zawsze, że mają barwę wymarzoną przez artystów. Nie mogłam się pogodzić z myślą poświęcenia ich w taki sposób.

„— Obawiam się, że to będzie zupełnie niemożliwe—rzekłam.

Otyły jegomość patrzył na mnie uważnie swemi małemi oczkami, a gdy usłyszał odpowiedź odmowną, chmura przemknęła się po jego twarzy.

„— Na nieszczęście, to kwestya zasadnicza—rzekl.—Jest to fantazyja mojej żony, a fantazyję kobiet trzeba zawsze uwzględniać. Więc pani nie chce obciąć włosów?

„— Nie, panie, doprawdy nie mogę—odparłam stanowczo.

„— Al... trudno, w takim razie niema o czem mówić. szkoda, gdyż pod innymi względami jest pani jak dla mnie stworzona. Skoro tak, miss Stoper, radbym widzieć jeszcze inne klientki pani.

Miss Stoper była przez cały czas pogrążona w przeglądaniu papierów, nie mówiąc słowa, ale spojrziała na mnie wzrokiem takim gniewnym, iż zrozumiałam, że, skutkiem mojej odmowy, traci znaczne komisowe.

„— Czy pani chce pozostawić nadal nazwisko swoje w moich książkach?—spytała.

„— Owszem, jeśli pani łaskawa.

„— W gruncie rzeczy wydaje mi się to niepotrzebnem, skoro pani w ten sposób odrzuca najkorzystniejsze oferty — rzekła cierpkim tonem. — Nie może pani wcale się spodziewać, żebyśmy się znów

starali znaleźć pani podobne miejsce. Dowidzenia, miss Hunter.

„Przycisnęła guzik od dzwonka elektrycznego i lokajczyk odprowadził mnie do drzwi.

„Muszę panu wyznać szczerze, że za powrotem do domu, zastawszy szafy puste i kilka niezapłaconych rachunków na stole, zaczęłam żałować swego postanowienia. Ostatecznie, jeśli ci ludzie mieli dziwaczne fantazyje i żądali mej zgody na rzeczy nadzwyczajne, wynagradzali mnie za to sownie. Bardzo mało nauczycielek w Anglii zarabia 60 f. st. rocznie. Zresztą, na co mi potrzebne moje włosy?

„Są kobiety, którym w krótkich włosach jest do twarzy; może i ja do nich należę. Nazajutrz zaczęłam przypuszczać, że zrobiłam głupstwo, a dnia następnego byłam już o tem przekonana. Postanowiłam tedy zdjąć pychę z serca i udać się do agencji dla zapytania, czy miejsce jest jeszcze wolne, gdy dostałam ten oto list od owego pana. Przeczytam go panu:

„Buki Purpurowe pod Winchesterem.

Szanowna Pani!

„Miss Stoper była o tyle uprzejma, że dała mi adres Pani, zgłaszam się tedy, by zapytać, czy Pani nie zmieniła postanowienia? Żona moja pragnie bardzo Pani przybycia, gdyż powiedziałem jej o Pani to, co wywarło na nią bardzo korzystne wrażenie. Jesteśmy zdecydowani dać Pani 17 f. st. kwartalnie, czyli 68 f. st. rocznie, by wynagrodzić Pani przykrości, jakie mogłyby Jej sprawić nasze fantazyje. Nie są one znów takie straszne. Żona moja lubi pewien odcień koloru niebieskiego i rada-

by, żeby Pani rano w domu, nosiła suknię tej barwy. Niema Pani jednak potrzeby kupować takiej sukni; córka moja, Alicya (która jest obecnie w Filadelfii), nosiła podobną; mamy ją jeszcze i zdaje mi się, że byłaby zupełnie dobra dla Pani. Co zaś do tego, że usiądzie Pani tu, czy tam, że sposób rozrywki będzie Pani przez nas wskazywany, to do prawdy obowiązki te nie są tak ciężkie do spełnienia. Włosów Pani, oczywiście, wielka szkoda; nie mogłem się oprzeć podziwianiu ich podczas naszej krótkiej rozmowy. Tutaj jednak ustąpić nie mogę i spodziewam się, że podwyższenie pensyi wynagrodzi Pani tę ofiarę. Czynności Pani przy dziecku nie będą uciążliwe. Mam nadzieję, że Pani nam nie odmówi i przyjadę po Panią powozem do Winchesteru. Proszę tylko, niech mi Pani dokładnie napisze, jakim pociągiem zamierza Pani jechać.

Z wysokim szacunkiem

*Jephro Rucastle*".

— Taki więc list otrzymałam i postanowiłam przyjąć miejsce. Pomyślałem jednak, że dobrze będzie, zanim zawrę umowę ostateczną, przedstawić panu całą sprawę.

— Ależ, jeśli pani jest zdecydowana, niema o czem mówić.

— Czy, zdaniem pana, powinnabym odrzucić?

— Wyznaję, że nie jest to miejsce, które wybrałbym naprzykład dla swojej siostry.

— Panie Holmes, co to wszystko może znaczyć!

— O, nie mam najłżejszego pojęcia. Nie wiem. A co pani myśli?



— Ja widzę tylko jedno wyjaśnienie. P. Rucastle wydaje się człowiekiem miłym i dobrego serca. Ale jego żona jest może obłąkana, usiłuje więc czynić zadość wszystkim jej fantazyom, by zapobiedz wybuchom i uniknąć konieczności zamknięcia jej w zakładzie.

— To możliwe i, powiem nawet, prawdopodobne. W każdym razie jednak wszystko nie zapowiada zbyt przyjemnego otoczenia dla młodej dziewczyny.

— A pensya, panie Holmes?

— No, tak, rzeczywiście, jest ponętna, może nawet zbyt ponętna. I to mnie niepokoi. Dlaczego dają pani 68 f. st. rocznie, kiedy mogliby dostać więcej nauczycielek, niż potrzebują, za 20 f. st.? W tem coś jest.

— Pomyślałam sobie, że, jeśli opowiem panu to wszystko dzisiaj, będzie pan już wtajemniczony na wypadek, gdybym pana potrzebowała później. Będę się czuła silniejszą, mając oparcie w panu.

— Może pani liczyć na mnie. Sprawa zajmuje mnie bardzo; wszystkie te szczegóły są niezwykle. W razie jakiegokolwiek wątpliwości lub niebezpieczeństwa...

— Niebezpieczeństwa! jakież pan niebezpieczeństwo przewiduje?

Holmes potrząsnął głową poważnie.

Niebezpieczeństwo przestałoby niem być, gdybyśmy je mogli określić. Ale, o jakiegokolwiek porze dnia, czy nocy, otrzymam od pani telegram, podążę na pomoc.

— To mi wystarcza...

Wstała żywo: wszelki ślad zaniepokojenia znikł jej z twarzy.

— A więc jadę do Hampshireu bez najbliższej obawy. Napiszę niezwłocznie do pana Rucastle, dziś wieczór poświęcę swoje biedne włosy, a jutro wyruszam do Winchesteru.

Po kilku słowach podziękowania, skierowanych do Holmes'a, pożegnała nas i wyszła.

— Ta da sobie radę sama—rzekłem, słysząc, jak schodziła ze schodów — tak przynajmniej wygląda.

— Tem lepiej dla niej—odparł Holmes zamyślony. — Dziwiłbym się bardzo, gdybyśmy wkrótce nie otrzymali od niej wiadomości.

Niedługo czekaliśmy na ziszczenie się przepowiedni mego przyjaciela.

Minęły dwa tygodnie, a przez ten czas niejednokrotnie wracałem myślą do tej kobiety i do trudności, z jakimi może musiała walczyć sama. Niesłychana pensya, jaką jej płacono, warunki dziwaczne, jakie jej postawiono, wszystko wykazywało jakieś okoliczności anormalne; niepodobna mi jednak było wykombinować, co kryło się pod tem—manja czy spisek, i czy ów człowiek jest filantropem, czy też łotrem.

Co do Holmes'a, ten siedział milczący całemi godzinami, z czołem zmarszczonem, pogrążony w zadumie, gdy zaś przypadkiem napomknąłem o przedmiocie, który zajmował moją uwagę, Holmes nie odpowiedział mi.

— Szczegółów! Żądam szczegółów!—wołał niecierpliwie—nie mogę budować bez fundamentów.

I kończył zawsze, zapewniając, że nie pozwoliłby nigdy siostrze przyjąć miejsca podobnego.

Telegram, na który czekaliśmy, doszedł nas pewnego wieczora, w chwili kiedy zamierzałem udać się na spoczynek, a Holmes, swoim zwyczajem, zabierał się do pracy na całą noc, dla rozstrzygnięcia zadania naukowego. Często bardzo opuszczalem go wieczorem, pochylonego nad retortą, z epruwetką w ręku i nazajutrz, przychodząc na śniadanie, zastawalem go w tej samej pozycji.

Holmes rozdarł żółtą kopertę, przeczytał telegram i rzucił mi go.

— Zobaczo w przewodniku, jak idą pociągi — rzekł i wrócił do doświadczenia chemicznego.

Wezwanie było krótkie i naglące.

„Zechciej pan być jutro, w południe, w hotelu pod „Czarnym Łabędziem“ w Winchesterze. Przyjeżdżaj pan, błagam! — Tracę głowę.

*Hunter“.*

— Jedziesz ze mną? — spytał Holmes.

— Z największą chęcią.

— A więc zajrzyj do przewodnika.

— Jest pociąg o pół do dziesiątej, który staje w Winchesterze o 11-ej 30.

— Doskonale, tym pojedziemy. Odlóżmy więc na później rozbiór chemiczny, bo musimy być wypoczęci jutro rano.

Nazajutrz, o godzinie jedenastej, zbliżaliśmy się do starego miasta angielskiego. Holmes z początku pograżył się w czytaniu dzienników porannych, ale, gdy wjechaliśmy do Hampshireu, cisnął je i począł podziwiać krajobraz.

Dzień był przecudny, wiosenny; po jasnym błękitie nieba snuły się z wschodu na zachód małe, śnieżyste obłoczki. Słońce iskrzyło się wesoło, ale w powietrzu unosił się jeszcze chłód dotkliwy i przejmujący. W całym kraju, aż do zaokrąglonych pagórków Aldershotu, z pośród bladej, zaledwie rozwiniętej zieleni, wylaniały się niewielkie, czerwone i szare dachy budynków folwarcznych.

— Co za boskie powietrze, jaki cudny widok!— zawołałem, z zachwytem człowieka, któremu udało się uciec od mgły ulicy Baker.

Holmes potrząsnął głową poważnie.

— Widzisz, Watson'ie, jednym z nieszczęść mózgu, zbudowanego jak mój, jest, że patrzę na wszystko jedynie ze stanowiska swej specjalności. Ty spoglądasz na te domy rozrzucone i uderza cię ich malowniczość. Ja patrzę na nie i przychodzi mi jedynie na myśl ich odosobnienie i bezkarność, z jaką mogą tam być popełniane przestępstwa.

— Boże wielki!—zawołałem.— Jak można pomyśleć, żeby w tych starych siedzibach, teńących nieokreślonym urokiem, popełniano zbrodnie!

— Takie siedziby przejmują mnie zawsze pewną trwogą. Najciemniejsze i najpodlejsze zaułki Londynu nie mają na sumieniu więcej grzechów, niż najpogodniejsza i najpiękniejsza wieś. Takie jest moje przekonanie, Watson'ie, i to oparte na doświadczeniu.

— Przerażasz mnie!

— A przyczyna tego jasna. Nacisk opinii publicznej może w miastach dokonać tego, czego prawo samo zrobić nie zdoła. Niema tak odległej uliczki,

gdzie krzyk dręczonego dziecka, odgłos razów, wymierzanych przez pijaka, nie rozbudzi sympatii i oburzenia sąsiadów. W mgnieniu oka sprawiedliwość z całym swoim aparatem jest na miejscu i wystarcza jeden znak, by ją uruchomić i sprowadzić przestępcę na ławę oskarżonych. Ale, spojrzysz na te domy, odosobnione wśród otaczających je pól, zamieszkałe przez biedaków, nie mających pojęcia o prawie. Pomyśl o piekielnych okrucieństwach, o potajemnych zbrodniach, które mogą się tam dokonywać powoli, bez niczyjej wiedzy. Gdyby ta młoda dziewczyna, która nas wzywa na pomoc, mieszkała w Winchesterze, nie bałbym się wcale o nią. Niepokoją mnie te pięć mil na wsi. Niemniej, nie jest zagrożona osobiście, to rzecz pewna.

— Oczywiście. Jeśli przyjeżdża do Winchesteru, żeby się widzieć z nami, znaczy, że, w razie potrzeby, mogłaby uciec.

— Ma się rozumieć. Jest zatem wolna.

— Cóż to więc za tajemnica? Czy masz jakie dane?

— Znalazłem siedem różnych wyjaśnień, z których każde może być przystosowane do znanych nam faktów. Ale pewnym będę dopiero, gdy otrzymam nowe objaśnienia. Oto i wieża katedry... niebawem będziemy tedy wiedzieli, czego miss Hunter chce od nas.

„Czarny Łabędź“ jest znanym hotelem na głównej ulicy w pobliżu dworca. Zastaliśmy młodą dziewczynę, która nas oczekiwała, w osobnym pokoju, gdzie kazała podać śniadanie.

— Jakam ja szczęśliwa, że pan przyjechał!—

zawołała. — Nie mam pojęcia, co począć i czekam rady pana, jak zbawienia.

— Niech nam pani najpierw opowie swoje dzieje.

— Już zaczynam... a nie mogę się długo rozwodzić, bo przyrzekłam panu Rucastle, że powrócę przed trzecią. Pozwolił mi pojechać do miasta, ale ani się domyśla co mnie tu sprowadza.

— Niechże pani opowiada, po kolei, jak i co zaszło.

Holmes wyciągnął swe długie nogi przed kominkiem i usadowił się wygodnie w fotelu.

— Muszę wyznać najpierw—zaczęła miss Hunter—że państwo Rucastle obchodzą się ze mną zupełnie dobrze. Winnam im oddać tę sprawiedliwość. Ale nie mogę ich zrozumieć, obojęście ich mnie niepokoi.

— Czego pani nie może zrozumieć?

— Powodów ich postępowania. Niechże pan posłucha, co zaszło od czasu mego przybycia. Gdy zajechałam tutaj, pan Rucastle czekał na mnie na dworcu i zawiózł mnie powozem do Buków Purpurowych. Jestto, jak mi słusznie powiedział w Londynie, dom bardzo ładnie położony, ale bez żadnego stylu. Niech pan sobie wyobrazi wielki gmach kwadratowy, pobielony wapnem, tu i owdzie widnieją na nim zielone plamy wilgoci. Dokoła, z trzech stron lasy, a z czwartej łąka, dochodząca do gościńca, który wiedzie do Southamptonu i jest o jakie sto metrów oddalony od bramy wejściowej. Łąka stanowi własność pana Rucastle'a, ale cała reszta należy do posiadłości lorda Southerton'a. Kępa buków purpuro-

wych, wyrosłych wprost bramy, nadała nazwę tej miejscowości.

„Pan Rucastle, który podczas jazdy był bardzo uprzejmy, przedstawił mnie, za przybyciem, żonie i dziecku. Pomyliliśmy się, panie Holmes, przypuszczając, że pani Rucastle może być waryatką. Jestto kobieta blada, milcząca, o wiele młodsza od męża, nie ma bowiem więcej niż lat trzydzieści, gdy on ma nie mniej niż czterdzieści pięć. O ile zrozumiałam z różnych wzmianek, pobrali się przed jakimi siedmiu laty; pan Rucastle był wdowcem, gdy się z nią żenił, a z pierwszej żony miał tylko córkę, tę właśnie, która wyjechała do Filadelfii. Pan Rucastle zwierzył mi się w tajemnicy, że powodem wyjazdu córki była nieprzyzwyczajona niechęć do macochy, której młodość utrudniała widocznie stanowisko panny Rucastle w domu ojca.

„Pani Rucastle wydaje mi się bezbarwna, zarówno moralnie jak i fizycznie. Nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia, ani dobrego ani złego. Jestto istota bez charakteru. Widać, że przywiązana namiętnie do męża i syna. Jasne szare jej oczy przenoszą się nieustannie z jednego na drugiego, by dostrzedz i przewidzieć, jeśli to możliwe, czego mogą potrzebować. On, jakkolwiek szorstki i hałaśliwy, jest dla niej dobry, na swój sposób; w ogóle robią wrażenie zgodnego małżeństwa.

„A jednakże ta kobieta ma jakieś ukryte zmartwienie. Wpada często w głęboką zadumę, a na twarzy jej maluje się cierpienie. Niejednokrotnie zastawałam ją we łzach. Zdawało mi się zrazu, że zasmucały ją tak skłonności syna, gdyż nie widzia-

łam nigdy istoty bardziej rozpieszczonej, ani obdarzonej gorszymi instynktami. Dziecko to jest, na swój wiek, małe, ale ma głowę olbrzymią, zupełnie nieproporcjonalną. Życie jego mija między napadami złości i ponurych dąsów. Ma tylko jedną przyjemność: dręczyć istoty słabsze, a posiada szczególny dar łapania myszy, ptaków i owadów. Ale, wolę nie mówić o tem, co ma bardzo małą zresztą styczność z moją historią.

— Muszę wiedzieć wszystkie szczegóły, bez względu na to, czy wydają się pani potrzebne lub zbyteczne—rzekł Holmes.

— Postaram się zatem nie opuszczać nic ważnego. Jedną z nieprzyjemności w tym domu, i to pierwszą, jaka mnie uderzyła, jest gminne obejście służących. Jest ich tylko dwoje, małżeństwo. Toller, tak się nazywa mąż, to człowiek źle wychowany, ordynarny, już niemłody, czuć od niego zawsze wódkę. Dwa razy, od czasu jak tam jestem, widziałam go zupełnie pijanego, a pan Rucastle zachowuje się tak, jakgdyby tego nie dostrzegał. Żona jego, bardzo wysoka i bardzo tęga, ma twarz odrażającą, a jest równie mileżąca, jak pani Rucastle, lecz o wiele mniej przyjemna. Słowem jest to para nieznośna, która jednak niebardzo mi przeszkadza, gdyż cały dzień niemal spędzam w *nursery* <sup>1)</sup>, i w swoim pokoju. Są to dwa pokoje środkowe, położone w jednym z rogów budynku.

„Przez pierwsze dwa dni, po przybyciu mojem do Buków Purpurowych, życie płynęło mi bardzo

<sup>1)</sup> Pokój dziecienny. (*Przyp. tłum.*)



spokojnie. Trzeciego dnia pani Rucastle zeszła po śniadaniu i szepnęła coś mężowi do ucha.

„— O! tak — rzekł, zwracając się do mnie — jesteście pani bardzo wdzięczni, miss Huuter, za to że pani poświęciła swoje włosy dla naszej fantazyi. Zapewniam panią, że pani z tem bardzo do twarzy. Teraz, zobaczymy jak pani będzie w sukni niebieskiej. Znajdzie ją pani na swoim łóżku, a jeśli pani zechce łaskawie ją przymierzyć, będziemy bardzo radzi“.

„Strój, jaki zastałam przygotowany w swoim pokoju, miał szczególny niebieski kolor, t. zw. *électrique*. Materyał, rodzaj serży, był w bardzo dobrym gatunku, ale miał widoczne ślady noszenia. Przymierzyłam suknię, leżała doskonale, jakby robiona na moją miarę. Państwo Rucastle okazywali z tego powodu nadmierną radość. Czekali na mnie w salonie, pokoju bardzo obszernym od frontu, z trzema oknami balkonowemi.

„Przy oknie środkowem stało krzesło, tyłem do światła odwrócone. Polecono mi usiąść na niem i pan Rucastle, chodząc wzdłuż i wszerz z przeciwległej strony pokoju, zaczął mi opowiadać najnieprawdopodobniejsze historye. Nie wyobrazi pan sobie, jaki był komiczny i zabawny; śmiałam się do rozpuku. Pani Rucastle, która widocznie nie rozumie żartów, nie rozchmurzyła czoła ani na chwilę, siedziała z rękoma złożonemi na kolanach, a na twarzy jej malował się niepokój. Po godzinie, mniej więcej, pan Rucastle zauważył nagle, że czas zabrać się do roboty i że mogę się rozebrać i pójść do *nursery*, gdzie był Edwardek.

„W dwa dni później powtórzyła się ta sama ceremonia, w takich samych zupełnie warunkach. Ubrałam się znów i znów usiadłam przy oknie, i śmiałam się tyleż, co za pierwszym razem z zabawnych historyjek, opowiadanych kapitalnie przez mego pryncypała, który ma ich widocznie zasób niewyczerpany. Następnie podał mi romans w żółtej okładce i, odwróciwszy nieco krzesło, tak, by mój cień nie padał na stronicę, poprosił, żebym czytała głośno. Czytałam przez dziesięć minut może jakiś ustęp, wybrany na chybił trafił; poczem pan Rucastle przerwał mi w środku zdania i powiedział, bym poszła się przebrać.

„Może sobie pan łatwo wyobrazić, panie Holmes, do jakiego stopnia ta nadzwyczajna ceremonia podnieciła moją ciekawość. Zauważyłam też, że państwo Rucastle starali się zawsze o to, bym siedziała plecami do okna, tak, że zaczęła mię trawić żądza zobaczenia, co też dzieje się za mną. Narazie wydawało mi się to niemożliwem, ale niebawem znalazłam sposób. Stukło mi się ręczne lusterko, co mi podsunęło szczęśliwą myśl ukrycia kawalka w chustkę od nosa. Na następnem posiedzeniu, zanosząc się od śmiechu, poniosłam chustkę do oczu, tak, że mogłam widzieć, co się dzieje za mną. Wyznaję, że doznałam zawodu. Nie działało się nic, nie absolutnie.

„Takie przynajmniej było moje pierwsze wrażenie. Ale, spojrzawszy powtórnie, zauważyłam na bardzo ożywionym gościńcu, wiodącym do Southamptonu, niskiego mężczyznę, z pełnym zarostem, w szarem ubraniu, który stał oparty o baryerę i pa-

trzył nieustannie w moją stronę. Spuściłam chustkę i wzrok mój spotkał się ze wzrokiem pani Rucastle. Nie powiedziała słowa, lecz jestem przekonana, że odgadła mój wybieg. Wstała niezwłocznie i podeszła do męża.

— Jephro—rzekła—jakiś impertynent stoi na gościńcu i przypatruje się nieustannie pannie Hunter.

— Czy to nie jaki znajomy pani?—zwrócił się do mnie pana Rucastle.

— Nie, nie znam tu nikogo.

— A, to dobre! Co za impertynencya! Niech się pani odwróci i da mu znak, żeby odszedł.

-- Sądzę, że byłoby najlepiej nie zwracać na niego uwagi.

-- Nie, nie, inaczej będzie się tu ciągle włóczył! Niechże się pani odwróci i da mu znak; ot, tak!

Zrobiłam, jak chciał, poczem pani Rucastle spuściła natychmiast roletę. To było w zeszłym tygodniu i od owego czasu nie siadywałam w oknie, i nie nosiłam sukni niebieskiej i nie widziałam mężczyzny na drodze.

— Niech pani mówi dalej, proszę—rzekł Holmes—opowiadanie pani zaczyna być bardzo zajmujące.

— Obawiam się, że wyda się panu potroszę bezładne; niezawsze jest związek między rozmaitemi zajęciami, o których pan odemnie usłyszysz. W dniu mego przyjazdu do Buków Purpurowych pan Rucastle zaprowadził mnie do małego budynku, przy drzwiach od kuchni. Zbliżając się, usłyszałam brzęk łańcucha i głucho warczenie.

— Niech pani spojrzy tędy, — rzekł do mnie pan Rucastle, wskazując mi szparę między dwiema deskami. — Pyszny okaz, nieprawdaż?

Zajrzałam i spostrzegłam zrazu dwoje błyszczących ślepiów, potem jakąś postać, której kształtów nie mogłam rozpoznać wśród ciemności.

— Niech się pani nie boi — odezwał się pan Rucastle, śmiejąc się z dreszczu, który mną wstrząsnął. — To tylko Carlo, mój brytan. Mówię „mój” ale jedynym człowiekiem, który może sobie z nim poradzić, jest stary Toller. Daje mu jeść raz na dzień, i to nie dużo, tak, że pies jest zawsze głodny, a więc i zły. Toller spuszcza go co noc z łańcucha; złodziej, który mu się nawinie, niechaj poleci duszę Bogu! Na miłość Boską, niech pani nigdy nie wychodzi w nocy, bo mogłaby pani opłacić to życiem.

„Przestroga była istotnie cenna. W dwa dni później wyglądałam w swoim pokoju przez okno, około drugiej nad ranem. Noc była pogodna, księżyc świecił pełnym blaskiem, potoki srebrzystego światła oblewały trawnik przed domem, było jasno, jak we dnie. Stałam, przejęta czarem ciszy pięknego widoku, gdy nagle poruszyło się coś w cieniu buków i naraz wysunął się pies wielki, jak cięły, maści rudawej z pyskiem czarnym, obwisłym, chudy, z wystającymi po bokach kośćmi. Przeszedł wolno przez trawnik i znikł w cieniu ze strony przeciwnej... Widok tej straszliwej warty przejął mnie trwogą większą, zdaje mi się, niż widok złodzieja.

„A teraz przychodzi bardzo dziwna przygoda.

Jak panu wiadomo, obciąłam włosy w Londynie; włożyłam je do kuferka, na sam spód. Pewnego wieczora, gdy dziecko już spało, zaczęłam oglądać umeblowanie swego pokoju i układać rzeczy. Stoi tam, między innymi, stara komoda; dwie górne szuflady były puste i otwarte, dolna zaś zamknięta na klucz.

„Zapełniłam tamte dwie bielizną, a ponieważ miałam jeszcze dużo rzeczy, gniewało mnie, iż nie mogłam zużytkować trzeciej. Przekonana, że szuflada pozostała zamknięta tylko przez zapomnienie, użyłam swój pęk kluczy, chcąc spróbować, czy nie uda mi się dopasować jednego z nich. Pierwszy klucz, jaki wzięłam, otworzył szufladę. Ręczę, że nie zgadnie pan nigdy, co w niej było: moje własne włosy. Wyjęłam je i obejrzałem dokładnie. Ten sam kolor, ta sama ilość. Ale, w jaki sposób moje własne włosy mogły się dostać do tej szuflady? Przecież to było zupełnie niemożliwe. Drżącymi rękoma otworzyłam kuferek i znalazłam w nim swoje włosy. Porównałam oba warkocze; okazało się, że są jednakowiuteńkie. Czy to nie nadzwyczajne, niesłychane? Napróżno łamałam sobie głowę, nie mogłam pojąć, co to znaczy. Włożyłam tamte włosy napowrót do szuflady i nie wspomniałam ani słówka o tem państwu Rucastle, bo czułam, że nie powinnam była otwierać szuflady, którą oni zamknęli.

„Jestem z natury obdarzoną zmysłem obserwacyjnym, panie Holmes, może pan to zauważył, niebawem tedy zorientowałem się doskonale w planie domu. Cała jedna strona wydawała mi się niez-

mieszkaną. Prowadziły do niej drzwi, przy pokojach Tollerów, ale te drzwi były zawsze zamknięte na klucz.

„Pewnego dnia jednak, wchodząc na schody, ujrzałam w drzwiach owych pana Rucastle'a z kluczami w ręku i twarzą zupełnie odmienną od tej pogodnej, jowialnej, którą ja znałam. Policzki miał ponsowe, czoło zmarszczone gniewnie, a żyły na skroniach nabrzmiałe. Zamknął drzwi i minął mnie szybko; ani się do mnie odezwał, ani na mnie spojrział.

„Podnieciło to moją ciekawość i, gdy wyszłam z dzieckiem na przechadzkę do ogrodu, skierowałam się w stronę, skąd mogłam widzieć okna tej części domu. Było ich cztery w rzędzie, z tych trzy poprostu brudne, czwarte zaś zabarykadowane. Widocznie nikt tam nie mieszkał. Gdym tak spacerowała, spoglądając od czasu do czasu na owe okna, nadszedł pan Rucastle; odzyskał już zwykły humor.

— Niech mnie pani nie posądza o niegrzeczność dlatego, że przeszedłem obok pani, nie przemówiwszy słowa. Byłem zupełnie pochłonięty przez bardzo ważną sprawę—tłumaczył się.

„Zapewniłam go, że nie dotknęło mnie to wcale.

— Zdaje mi się—dodałam— że tu na piętrze jest cały szereg pokojów niezajętych, w jednym nawet okiennice są zamknięte.

Pan Rucastle był widocznie zaskoczony tą uwagą, a nawet drgnął z lekka.

— Fotografia jest jedną z moich namiętności — odparł — urządziłem sobie tedy tam na górze

ciemnię. Ale jaka z pani obserwatorka! Ktoby to przypuszczał? ktoby to kiedykolwiek przypuszczał?

„Mówił tonem żartobliwym, ale oczy jego nie żartowały. Dostrzegałam w nich przeciwnie podejście i gniew.

„Wówczas, panie Holmes, skoro tylko zaczęłam się domyślać tajemnicy, ogarnęło mnie jedno pragnienie: wykryć ją. Nie kierowała mną wyłącznie ciekawość, jakkolwiek nie posiadam jej w naturze mniej, niż inni; zbudziło się we mnie jakieś poczucie obowiązku; przeświadczenie, że, jeśli tam wtargnę, spełnię dobry uczynek. Mówią o instynkcie kobiet, może kierował mną ten instykt. Dość, że czekałam pilnie na sposobność przekroczenia przez drzwi zakazane.

„A sposobność ta nastąpiła dopiero wczoraj. Winnam dodać, że oprócz pana Rucastle'a, do tych pokojów niezamieszkałych wchodzi też Toller i jego żona; widziałam nawet, jak Toller wnosił tam wór z czarnego płótna. W ostatnich dniach Toller pił więcej, niż kiedykolwiek, a wczoraj wieczorem był zupełnie pijany. Idąc do siebie na górę, spostrzegłam klucz we drzwiach; niechybnie zostawił go tam Toller. Państwo Rucastle byli oboje z dzieckiem na dole, miałam więc doskonałą sposobność zadowolenia dręczącej mnie ciekawości. Przekreśliłam ostrożnie klucz w zamku, otworzyłam drzwi i przestąpiłam próg zakazany.

„Znalazłam się na korytarzyku bez kobierca, o ścianach białych. Korytarzyk ten skręcał na prawo i tu wychodziło troje drzwi, z których pierwsze i trzecie były otwarte i prowadziły do pokojów

pustych, pełnych kurzu, smutnych; jeden miał dwa okna, a drugi tylko jedno. Przez brudne szyby za ledwie przedostawał się blask światła. Drzwi środkowe były zamknięte i przytrzymane prętem z łózka żelaznego, o ile mi się zdaje, przymocowanym z jednej strony grubym sznurem, a z drugiej kłódką. W zamku drzwi klucza nie było. Odpowiadały one widocznie zabarykadowanemu oknu, które widziałam od frontu, a jednakże promień światła, przedostający się przez szparę podedrzwiami, wskazywał, że pokój nie jest ciemny. Widocznie oświetlały go szyby w dachu.

„Gdy przypatrywałam się tym drzwiom tajemniczym, zapytując siebie co się za nimi ukrywa, dobiegł mnie z pokoju odgłos kroków i dostrzegłam cień, poruszający się na wąskim pasmie światła, które przedostawało się podedrzwiami. Na ten widok, panie Holmes, zdjęła mnie szalona trwoga. Odwaga opuściła mnie nagle i ucieklam, biegnąc co tchu, jakgdybym chciała ująć przed żelazną dłońią, która się wyciągała, by schwytać mnie za spódnicę.

„Minęłam korytarz, drzwi i wpadłam w objęcia p. Rucastle'a, który czekał za progiem.

„— A — rzekł, uśmiechając się — to pani? Domyślałem się tego, widząc drzwi otwarte.

„— Ach, jak ja się przeleklam! — rzekłam zadyszana.

„— Droga, kochana pani — nie wyobrazi pan sobie jaki głos jego był pieszczośliwy i czuły — i cóż panią tak przestraszyło?

„Głos jego wszakże był zbyt tkliwy. Przesadzał i to sprawiło, że miałam się na baczności.



„— Weszłam przez ciekawość do skrzydła niezamieszkanego—odparłam—ale tam tak ciemno i pusto, że zdjął mnie strach i uciekłam. Och, co tam za cisza w tych kątach.

„— To wszystko?—spytał, wpatrując się bacznie we mnie.

„— A cóż pan chce więcej?

„— Jak się pani zdaje, dlaczego te drzwi są zamknięte na klucz.

„— Nie mam pojęcia.

„— Dlatego, żeby uniemożliwić wstęp ludziom, którzy nie mają tam nic do roboty. Rozumie pani?

„Uśmiechał się ciągle z niesłychaną uprzejmością.

„— Oczywiście, gdybym była wiedziała...

„— A więc, teraz pani wie. Jeśli noga pani kiedykolwiek jeszcze postanie tutaj — w jednej chwili uśmiech jego zmienił się w skurecz gniewu, a oczy przeszły mnie piekielnym spojrzeniem—oddam panią na żer brytanowi.

„Byłam taka wystraszona, że już nic nie wiem, co robiłam. Odeszłam pewnie, bez słowa odpowiedzi, do swego pokoju. Nie pamiętam już nic do chwili, w której znalazłam się, cała drżąca, na łóżku. Wówczas, panie Holmes, pomyślałam o panu. Nie mogłam tam już żyć bez zasięgnięcia czyjejkolwiek rady. Bałam się domu, męża, żony, służących, nawet dziecka. Wszyscy przejmowali mnie odrazą.

„Zdawało mi się, że obecność pańska uratuje wszystko. Oczywiście, byłabym mogła uciec z domu, ale ciekawość moja była prawie równie silna

jak moja obawa. Postanowiłam tedy zatelegrafować do pana. Zarzuciłam okrycie i kapelusz, poszłam do biura telegraficznego, oddalonego o jakie pół mili od domu i, wracając, już czułam taką ulgę, jakgdyby mi wielki ciężar spadł z serca.

„Wszelako, gdy zbliżałam się do domu, zdjęła mnie straszna trwoga, na myśl, że pies może być spuszczoney z łańcucha, przypomniałam sobie jednak, że Toller jest zupełnie pijany i że z pewnością o tem nie pomyślał, a zwierzę jest takie dzikie, że nikt inny zrobiłby tego nie mógł. Powróciłam tedy bez wypadku i spędziłam pół nocy bezsennie z radości, że pana wkrótce zobaczę.

„Dziś rano otrzymałam z łatwością pozwolenie na wyjazd do Winchesteru, ale muszę być z powrotem o trzeciej, gdyż państwo Rucastle wybierają się do sąsiadów i nie będą wieczorem w domu, tak, że muszę pozostać przy dziecku. Panie Holmes, opowiedziałam panu wszystkie fakty i byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby mi je pan wyjaśnił, a nadewszystko, gdybym wiedziała, co mam począć.

Słuchaliśmy obaj z natężoną ciekawością tej całej historii. Gdy miss Hunter skończyła, mój przyjaciel wstał, zaczął chodzić po pokoju, głęboko zamyślony, z rękoma w kieszeniach.

— Czy Toller jest jeszcze pijany? — spytał.

— Tak. Słyszałam, jak żona jego mówiła do pana Rucastle'a, że nie może z niego wydobyć słowa.

— Dobrze. A Rucastle'owie wychodzą dziś wieczór?

— Tak.

— Czy jest w domu piwnica z mocnym zamkiem?

— Jest.

— Zdaje mi się, miss Hunter, że postąpiłaś pani w tej całej sprawie, jak kobieta inteligentna i odważna. Czy mogłaby pani zrobić jeszcze coś więcej? Nie wspominałbym pani o tem, gdybym pani nie uważał za kobietę wyjątkową.

— Spróbuję. I cóż to takiego?

— Przyjedziemy obaj do Buków Purpurowych o godzinie siódmej. Rucastle'ów już nie będzie, a Toller, mam nadzieję, pozostanie w dalszym ciągu niepoczytalny. Pozostaje więc tylko jego żona, która mogłaby nam przeszkodzić. Otóż, jeśli pani może posłać ją po cokolwiek do piwnicy i zamknąć pod klucz, ułatwiłoby nam to niezmiernie naszą robotę.

— Dobrze, zrobię jak pan chce.

— Wyśmienicie. W takim razie przeprowadzimy najściślejsze badanie. Istnieje tylko jedno możliwe wyjaśnienie. Sprowadzono panią po to, żebyś odgrywała czyjąś rolę, a ten ktoś jest zamknięty w owym tajemniczym pokoju. To rzecz oczywista. Co do uwięzionej nie wątpię, że jest to córka pana Rucastle'a, Alicya, która, jeśli mnie pamięć nie myli, miała jakoby wyjechać do Ameryki. Pan Rucastle wybrał panią, bez najmniejszej wątpliwości, dlatego, że pani jest do niej podobna ze wzrostu, ruchów i włosów. Jej obcięto włosy, prawdopodobnie skutkiem choroby, naturalnie więc i pani musiała poświecić swoje. Przypadek, niezwykle istotnie, chciał, że pani znalazła obcięte warkocze. Mężczy-

zna z gościńca jest niewątpliwie jednym z przyjaciół panny Rucastle, może jej narzeczonym, którego oszukują podobieństwem pani i ową suknią panny Alicyi, w jaką panią ubierano. Wesolość pani i zachowanie się wykazuje mu, że panna Rucastle jest zupełnie szczęśliwa i nie pragnie już, żeby się starał o jej względy. Pies bywa co noc spuszczaony, by przeszkodzić wszelkiemu między nimi porozumieniu. To wszystko jest dość jasne. Najważniejszym punktem sprawy jest natura dziecka.

— Jakież to może mieć związek? — zawołałem.

— Mój drogi, jesteś lekarzem i uczyłeś się poznawać usposobienie dziecka, studiując jego rodziców. Czyż nie widzisz, że sprawdza się to i nawzajem? Często bardzo, obserwując dzieci, zyskiwałem pierwsze wskazówki o charakterze ich ojca. Natura dziecka, które nas na razie zajmuje, jest niemoralna w swoim okrucieństwie: dręczy ono przez samo zamiłowanie do okrucieństwa, a czy odziedziczyło tę przywarę od ojca, zawsze uśmiechniętego, czy też od matki, w każdym razie to smutna przepowiednia dla biednej dziewczyny, która znajduje się w ich rękach.

— Jestem pewna, że pan ma słuszość, panie Holmes — zawołała nasza klientka. — Przypominam sobie teraz dziesiątki szczegółów, które mi dowodzą, że pan wpadł na trop właściwy. Och! niema chwili do stracenia, trzeba śpieszyć z pomocą tej nieszczęśliwej.

— Musimy być ostrożni, bo mamy do czynienia z człowiekiem przebiegłym. Nie możemy przedsięwziąć nic przed godziną siódmą. O tej godzinie

będziemy przy pani i tajemnica zostanie wyjaśniona.

Siódma biła, gdy, wierni danemu słowu, przybyliśmy do Buków Purpurowych, pozostawiwszy powóz po drodze w gospodzie. Grupa drzew, o liściach ciemnych, lśniących, jak metal polerowany, w świetle zachodzącego słońca, wskazałaby nam dom, gdyby nawet miss Hunter nie czekała na nas, uśmiechnięta, w progu drzwi.

— I cóż, udało się pani? — spytał Holmes.

W tej samej chwili dobiegł nas głuchy odgłos z sutereny.

— To pani Toller w piwnicy — odparła miss Hunter. — Mąż jej chrapie na sienniku w kuchni. Oto klucze, takie same, jak pana Rucastle'a.

— Sprawiaś się pani wyśmienicie! — zawołał Holmes z zachwytem. — Teraz niech nam pani wskaże drogę, a niebawem zapoznamy się z tą tajemniczą sprawą.

Weszliśmy na schody; otworzyliśmy drzwi, minęliśmy korytarz i znaleźliśmy się przed opisaną przez miss Hunter barykadą. Holmes przerwał sznur i zdjął pręt żelazny, próbował kilka kluczy, ale żaden nie pasował do zamka. Z wnętrza nie dochodził nas najlżejszy odgłos, wobec tej ciszy twarz Holmes'a zasępiła się.

— Mam nadzieję, że nie przybywamy zapóźno — rzekł. — Sądzę, miss Hunter, iż lepiej będzie, gdy wejdziemy sami. Dalej, Watson'ie, podważ drzwi ramieniem, może zdołamy je wyłamać.

Drzwi były stare i z łatwością ustąpiły wobec

naszych wysiłków. Wpadliśmy do wnętrza. Pokój był pusty! Całe umeblowanie składało się z małego łóżka polowego, ze stoliczka i kosza, pełnego bielizny. Okno, wybite w dachu, było otwarte—uwięziona znikła.

— Nowa nikiemność — rzekł Holmes.—Ten zacny jegomość odgadł zamiary miss Hunter i porwał swoją ofiarę.

— Ale którą?!

— Przez dach. Zobaczymy, jak on to zrobił.— Wspiął się do otworu.—O, tak — zawołał — jest tu koniec długiej drabiny, opartej o rynnę. Tędy zabrał uwięzioną.

— Ależ to niepodobna — wtrąciła miss Hunter.—Drabiny tam nie było, gdy Rucastle'owie wyjeżdżali.

— W takim razie Rucastle wrócił umyślnie. Mówię, wam że to człowiek bardzo silny i bardzo niebezpieczny. Słyszę kogoś nadchodzącego; nie zdziwiłbym się gdyby to był on, Watsonie, zdaje mi się, że dobrze zrobisz, trzymając pistolet w pogotowiu.

Nie skończył jeszcze, gdy we drzwiach ukazał się człowiek bardzo tęgi i bardzo wysoki z olbrzymim kijem w ręku. Miss Hunter krzyknęła przeraźliwie i oparła się o ścianę, ale Sherlock Holmes rzucił się ku wchodzącemu.

— Nędzniku! gdzie twoja córka?

Pan Rucastle obejrzał się dokoła i spostrzegł otwarte okno w dachu.

— To ja powinienem was pytać, złodzieje! Szpiegi i złodzieje! Złapałem was, co! Jesteście

w moich rękach. Poczekajcie ja was ładnie urządzę!

Wypadł z pokoju i zbiegł ze schodów, jak szalony.

— Poszedł po psa!—zawołała miss Hunter.

— Mam rewolwer—rzekłem.

— Lepiej zamknąć drzwi od domu — zauważył Holmes i zbiegliśmy również coprędzej ze schodów.

Zaledwie stanęliśmy na dole, dobiegło nas szczekanie psa, a potem ryk bólu i odgłos zacieklej walki. Przededrzwiami ukazał się człowiek w podeszłym wieku, o twarzy ponsowej, cały drżący i chwiejący się na nogach.

— Boże wielki! — krzyknął. — Ktoś wypuścił psa. Nie jadł od dwóch dni! Prędzej, panowie, prędzej na pomoc, albo będzie zapóźno!

Wybiegłem z Holmes'em, a Toller pośpieszył za nami. Olbrzymie zgłodniałe psisko przewróciło Rucastle'a i tarzało się wraz z nim po ziemi, zapiwszy kły w jego szyję. Zbliżyłem się i wpakowałem psu w łeb kulę rewolwerową; zwałił się z nóg, lecz białe jego zęby nie popuściły tłustej szyi ofiary. Rozłączyliśmy ich z trudnością i przenieśliśmy ranionego do domu; żył, ale był straszliwie pokaleczony. Położyliśmy go na sofie i gdy Toller podążył po żonę, robiłem, co było w mojej mocy, by ulżyć cierpieniom Rucastle'a. Naraz drzwi się otworzyły i weszła wysoka, tęga, kobieta.

— Pani Toller!—krzyknęła miss Hunter.

— Tak, to ja. Pan Rucastle, powróciwszy wypuścił mnie, zanim poszedł do państwa na górę. Ach! co za nieszczęście, że pani nie uprzedziła mnie

o swoich zamiarach; byłabym pani powiedziała, że to zbyteczne.

— Oho!—rzekł Holmes, wpatrując się bacznie w mówiącą. — Pani Toller jest widocznie lepiej od wszystkich w tę sprawę wtajemniczona.

— Tak panie i gotowa jestem powiedzieć, co wiem.

— A więc, niechże pani siada i mówi, bo wyznaję, że są w tem wszystkim niektóre punkty, zupełnie ciemne dla mnie.

— Wnet je panu wyjaśnię, a byłabym to uczyniła weześniej, gdybym mogła wyjść z piwnicy. Jeśli sąd się w to wmiesza, to pan zechce pamiętać, że trzymam z panem, podobnie, jak zawsze ujmowałam się za miss Alicyą.

„Miss Alicya nie była szczęśliwa w domu od czasu, jak ojciec jej ożenił się powtórnie. Poniewierał nią, nie miała prawa ust otworzyć, ale gorzej działo się jeszcze, gdy u przyjaciół swoich poznała się z panem Fowler'em. Miss Alicya, dzięki odziedziczonemu spadkowi, miała majątek osobisty; jest taka dobra i taka cierpliwa, że nie mówiła o tem nigdy i pozostawiła wszystko w rękach ojca. Wiedział, że co do niej samej, nie ma potrzeby się obawiać, ale, gdy postanowiła wyjść za mąż, pan Rucaastle chciał wszelkimi siłami przeszkodzić małżeństwu, w przewidywaniu, że mąż zażąda zwrotu całego majątku. Najpierw tedy próbowano zmusić córkę, by podpisała zobowiązanie, że chociaż wyjdzie za mąż, pozostawi ojcu zarząd majątkiem. Ponieważ odmówiła, dręczył ją tak, że, wpadła w gorączkę i przez sześć tygodni była między życiem



a śmiercią. Wyzdrowiała nareszcie, ale wyglądała jak cień, musiano też obciąć jej wspaniałe włosy. Nie wpłynęło to na zmianę uczuć narzeczonego, który pozostał jej wierny.

— Aha!—rzekł Holmes — to wyjaśnia wszystko i zdaje mi się, że teraz odgaduję, resztę. Wówczas pan Rucastle uwięził córkę.

— Tak, panie.

— I sprowadził miss Hunter z Londynu, by się pozbyć pana Fowler'a.

— Nieinaczej, panie.

— Ale pan Fowler jest wytrwały, jak przystoi na dobrego marynarza, czatował dokoła domu, a spotkawszy panią zdołał, przy pomocy pewnych argumentów metalicznych lub innych, przekonać panią, że interes jego, jest zarówno interesem pani.

— Pan Fowler jest bardzo uprzejmym i bardzo wspaniałomyślnym dżentlmenem — odparła pani Toller sentencyonalnie.

— Urządził się tedy tak, żeby za ceny małżonka pani miał zawsze czem się pokrzepić i żeby drabina była gotowa na wypadek wyjścia pana Rucastle'a.

— Tak było istotnie, jak pan powiada.

— Winienem pani podziękować za wyjaśnienie wszystkiego, co nas intrygowało. Ale, oto doktor miejscowy z panią Rucastle. Zdaje mi się, Watson'ie, że nie pozostaje nam nic innego, tylko towarzyszyć miss Hunter do Winchesteru, bo nasze *locus standi* jest teraz bardzo niepewne.

Tajemnica ponurego domu za kępą buków purpurowych została zatem wyjaśniona. Pan Rucastle

stle ocalał, dzięki, pełnym poświęcenia, staraniom żony, zdrowie jego jednak było bardzo nadwyrężone. Tollerowie pozostali u nich, za dobrze znają ich ubiegłe życie; oddalić takich służących niepodobna. Pan Fowler i miss Rucastle pobrali się, za specjalną dyspensą, w Southamptonie, nazajutrz po ucieczce; on ma teraz posadę rządową na wyspie św. Maurycego.

Co do miss Violette Hunter, to, ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu, Holmes przestał zupełnie interesować się nią, z dniem rozstrzygnięcia zagadki. Jest obecnie w Walsallu kierowniczką szkoły prywatnej, która, jak mnie zapewniano, świetnie się rozwija.

---

## OSTATNIA ZAGADKA.

---

Z ciężkiem sercem biorę do ręki pióro, by skreślić te słowa, w których po raz ostatni mówię będą o osobliwych zdolnościach, jakimi obdarzony był mój przyjaciel, p. Sherlock Holmes. W sposób bezładny, i, czuję to doskonale, zupełnie nieudolny, usiłowałem zdać poniekąd sprawę z niezwykłych przygód, przeżytych w jego towarzystwie, od chwili, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, dzięki przygodkowi, w okresie „Czerwonego szlaku”, aż do czasu wmięszania się Holmesa w sprawę „Traktatu morskiego”, co niechybnie zapobiegło poważnemu zatargowi międzynarodowemu.

Zamierzałem przerwać na tem i nie mówić nie o wypadku, który wytworzył w życiu mojem pustkę, równie niezapełnioną dziś jak przed laty dwoma. Wszelako zmuszony zostałem odstąpić od tego postanowienia nowemi listami, w których pułkownik Jakób Moriarty broni pamięci brata; nie

pozostało mi nie innego, tylko podać do wiadomości publicznej istotny przebieg faktów. Ja jeden wiem całą prawdę i rad jestem, iż nadszedł czas, że można ją odsłonić, nie przynosząc szkody żadnej dobrej sprawie.

O ile wiem, trzy tylko opisy zamieszczone były w prasie: w *Journal de Genève*, z d. 6 maja r. 1891, w dziennikach angielskich z d. 7 maja, według depezy „Reutera“, i wreszcie teraz w liściach, o których wspominałem. Z tych opisów pierwszy i drugi był bardzo treściwy, ostatni zaś, jak niniejszem wykażę, jest najzupełniem przekręceniem faktów. Ja zatem winienem wyjaśnić po raz pierwszy, co istotnie zaszło między profesorem Moriartym a p. Sherlockiem Holmes'em.

Pozwolę sobie przypomnieć, że, gdym się ożenił i rozpoczął praktykę prywatną, zażyłe stosunki nasze uległy pewnej zmianie. Holmes przychodził do mnie od czasu do czasu, gdy potrzebował towarzystwa w swoich poszukiwaniach, ale zdarzało się to coraz rzadziej, aż wreszcie stało się, że w ciągu r. 1890 zaszły tylko trzy wypadki, które zapamiętałem. Podczas zimy tegoż roku i wczesną wiosną r. 1891 czytałem w gazetach, że Holmes był wzywany przez rząd francuski, który mu poruczył sprawę niesłychanej wagi; otrzymałem też od niego dwa bileciki, z Narbonne i z Nîmes, i wywnioskowałem z nich, że pobyt jego we Francji będzie prawdopodobnie długi. Z pewnem zdumieniem zatem ujrzałem go wchodzącego do mego gabinetu, wieczorem d. 24-go kwietnia. Uderzyło mnie, że był bledszy jeszcze i szczuplejszy niż zwykle.

— Tak, nadużywałem sił, wyczerpałem się trochę—zauważył, odpowiadając raczej na moje spojrzenie, niż na moje słowa; — miałem sporo pracy ostatnimi czasy. Czy nie będziesz miał nic przeciw temu, żebym zamknął okiennice?

Pokój oświetlony był tylko lampą, przy której czytałem; Holmes, idąc tuż pod ścianą, zbliżył się do okna i, zatrzasnąwszy okiennice, zamknął je szczelnie.

— Obawiasz się czego?—spytałem.

— Tak jest.

— Ależ czego?

— Wiatrówki.

— Mój drogi, co to znaczy?

— Zdaje mi się, że znasz mnie dobrze i wiesz, że nie jestem bynajmniej człowiekiem nerwowym. Wszelako głupotą raczej, niż odwagą nazwę lekceważenie niebezpieczeństwa, gdy istotnie jest bliskie. Czy mogę cię prosić o zapalną?

Wciągał dym papierosa chciwie, jakgdyby odziaływał na niego kojąco.

— Muszę cię przeprosić za tę późną wizytę—odezwał się po chwili—a nadto zażądać, żebyś porzucił wszelką etykietę i pozwolił mi wyjść ztąd przez mur ogrodu od tyłu.

— Ale co to wszystko znaczy?—spytałem.

Wyciągnął dłoń i w świetle lampy ujrzałem, że ma dwa palce skaleczone i pokrwawione.

— Jak widzisz nie chodzi tu o czeze urojeń — rzekł z uśmiechem. — Czy pani Watson w domu?

— Wyjechała w odwiedzinę.

— Doprawdy! Jesteś sam?

— Zupełnie.

— W takim razie tem łatwiej przychodzi mi zaproponować ci, żebyś wyjechał razem ze mną na tydzień na kontynent.

— Dokąd?

— O, gdziekolwiek. Wszystko mi jedno.

Wszystko to razem było bardzo dziwne. Holmes nie miał zwyczaju podróżować dla rozrywki, bez celu, a wyraz jego bladej, wynędzniałej twarzy świadczył, że miał nerwy w najwyższym stopniu rozstrojone. Dostrzegł pytanie w moich oczach i, zetknąwszy dłonie czubkami palców, a łokcie oparłszy na kolanach, wyjaśnił położenie.

— Nie słyszałeś nigdy pewnie o profesorze Moriarty?—zaczął.

— Nigdy.

— Otóż to właśnie w tem geniusz i dziwy istotne—zawołał.—Człowiek ten przenika cały Londyn, a nikt o nim nie słyszał. I to właśnie stawia go na szczycie w kronikach zbrodni. Watsonie, mówię ci zupełnie poważnie, że, gdybym mógł pokonać tego człowieka, gdybym mógł uwolnić od niego społeczeństwo, powiedziałbym sobie, że karyera moja skończona i byłbym gotów obrać jakie spokojniejsze zajęcie na resztę życia. Mówiąc między nami, ostatnie wypadki, w których pomocy mojej wzywała skandynawska rodzina królewska i rzeczpospolita francuska, przyniosły mi tyle, że mógłbym prowadzić nadal spokojny tryb życia, który mi najbardziej odpowiada i poświęcić się zupełnie badaniom chemicznym. Ale nie miałbym spokoju, Watsonie

nie mógłbym usiedzieć w fotelu na myśl, że człowiek taki, jak profesor Moriarty, wędruje swobodnie po ulicach Londynu.

— Ależ cóż on takiego zrobił?

— Karyera jego jest istotnie nadzwyczajna. Jest to człowiek z dobrego domu, bardzo wykształcony, obdarzony z natury fenomenalnymi zdolnościami matematycznymi. Mając lat dwadzieścia jeden napisał rozprawę o teorii dwumianu, która zyskała rozgłos europejski i zdobyła mu katedrę matematyki w jednym z naszych pomniejszych uniwersytetów, otwierała się zatem przed nim świetna karyera. Ale człowiek ten obarczony był dziedzicznymi skłonnościami szatańskiej natury. Miał we krwi popędy zbrodniarza, a nadzwyczajne zdolności umysłowe zamiast złagodzić te popędy, spotęgowały je jeszcze i uczyniły nieskończenie niebezpieczniejszemi. W mieście uniwersyteckiem obiegaly o nim tajemnicze pogłoski, tak, że w końcu zmuszony był zrzec się katedry i zamieszkać w Londynie. Tyle wie świat o nim, ale to, co powiem ci teraz, ja sam wykryłem.

„Jak ci wiadomo, Watsonie, niema nikogo, któryby równie dobrze, jak ja, znał wyższy londyński świat kryminalny. Przez długie lata miałem ciągle wrażenie, że po za przestępcą jest jakaś potęga, jakaś wielka potęga organizacyjna, która wiecznie urąga prawu i osłania swą tarczą złoczyńcę. Nieustannie, w wypadkach najrozmaitszego rodzaju, czy to były fałszerstwa, kradzieże czy morderstwa, czułem obecność tej siły i pewien jestem jej współdziałania w wielu niewykrytych zbrodniach,

w których sprawie nie zasięgano mojej rady. Przez całe lata usiłowałem przedrzeć zasłonę, która ukrywała tę siłę, aż nareszcie nadszedł czas, kiedy schwytałem nitkę i poszedłem za jej śladem, dopóki nie doprowadziła mnie, tysiącami przebiegłych zakrętów, do byłego profesora Moriarty, słynnego matematyka.

„Watsonie—mówię ci, to Napoleon zbrodni. Jest on sprawcą połowy złego, a prawie wszystkiego tego, co pozostało niewykryte w naszej wielkiej stolicy. To geniusz, filozof, myśliciel abstrakcyjny. Umysł ma pierwszorzędny. Siedzi nieruchomy, jak pająk w środku swej sieci, ale ta sieć rozsnuwa tysiące nici, a on zna doskonale każde drgnienie każdej z nich. Sam robi mało. Obmyśla tylko plany. Ale agentów ma licznych i zorganizowanych znakomicie. Gdy jest zbrodnia do spełnienia, gdy trzeba wykraść dokumenty, powiedzmy, ograbić dom lub zgładzić człowieka, profesor otrzymuje zawiadomienie, sprawa zostaje zorganizowana i wykonana. Agent został schwytyany. W takim razie znajdują się zawsze pieniądze na kaucyę, lub na obronę. Ale siły głównej, która się agentem posługuje, nikt nie schwyta—a nawet nie podejrzewa. Istnienie tej organizacyi wywnioskowałem z różnych objawów i poświęciłem całą swoją energię, żeby ją ujawnić i złamać.

„Ale profesor był otoczony strażą tak przebiegle wyszkoloną, że wszelkie moje usiłowania okazywały się daremnymi i nie zdołałem pozyskać nic, co mogłoby posłużyć za dowód przekonywający w sądzie. Znasz moje zdolności, kochany Watsonie—



nie, a jednak po trzech miesiącach, zmuszony byłem przyznać, że spotkałem nareszcie przeciwnika, który pod względem inteligencji stał ze mną na równi. Zgrozę, jaką mnie przejmowały jego zbrodnie, zagłuszał podziw, który budziła we mnie zręczność jego. Ale nareszcie popełnił błąd, małeńki, nieznaczący błąd, mnie wszakże to wystarczyło i, wychodząc z tego punktu, rozsnułem sieć swoją dookoła niego, tak, że teraz już mogę ją ściągnąć. Za trzy dni, to jest w przyszły poniedziałek, wszystko będzie gotowe i profesor wraz z głównymi członkami swej zgrai, znajdzie się w rękach policji. Potem nastąpi największy proces kryminalny w całym stuleciu, wyjaśnienie przeszło czterdziestu tajemnic, a oni wszyscy dostaną się na stryczek. Ale jeśli uczynimy jeden krok przedwcześnie, mogą nam się wymknąć z rąk nawet w ostatniej chwili.

„Gdybym to wszystko mógł uczynić bez wiedzy profesora Moriarty'ego, sprawa poszłaby gładko. Ale on był zbyt przebiegły. Widział każdy krok, jaki przedsiębrałem dla zasnucia swoich sieci dookoła niego. Usiłował raz po raz wymknąć się, ale zawsze zdołałem go zaszachować. Wierżaj mi, mój przyjacielu, że, gdyby można napisać szczegółowe sprawozdanie z tej cichej walki, byłby to najświetniejszy epizod w historii śledztwa policyjnego. Nigdy nie dokazywałem takich cudów i nigdy przeciwnik nie pognębiał mnie tak strasznie. Wymierzał ciosy głębokie, ale moje były jeszcze głębsze. Dziś rano przedsięwzięte zostały ostatnie kroki i brakło tylko trzech dni dla dokończenia sprawy. Siedziałem

w gabinecie, myśląc o tem właśnie, gdy otwarły się drzwi i profesor Moriarty stanął przedemną.

„Mam nerwy dość zahartowane, Watsonie, ale muszę wyznać, że zadrzałem na widok człowieka, który pochłaniał wszystkie moje myśli, stojącego w progu mego domu. Postać jego była mi dobrze znana. Jest niesłychanie wysoki i chudy, czoło ma bardzo wypukłe, a oczy głęboko osadzone w czaszce. Zupełnie wygolony, blady, wygląda jak asceta, niemniej zawód profesorski pozostawił piętno na jego rysach. Plecy ma zaokrąglone od pochylania się nad książkami, twarz wysuniętą naprzód, a cała głowa jego kołysze się nieustannie ruchem powolnym, jak łeb gadów. Przyglądał mi się z wielką ciekawością w zapadłych oczach.

„— Czoło pańskie jest mniej rozwinięte, niż się spodziewałem—odezwał się w końcu.—Wsuwać broń nabitą do kieszeni surduta, to zwyczaj niebezpieczny.

„Skoro tylko wszedł, uprzytomniłem sobie niezwłocznie niesłychane niebezpieczeństwo osobiste, jakie mi groziło. Jedyntym ratunkiem dla niego było zamknięcie mi ust. To też w mgnieniu oka wsunąłem rewolwer z szuflady do kieszeni, ale po jego uwadze wjąłem broń i położyłem ją z odwiedzionym kurkiem na stole. Profesor Moriarty uśmiechał się i mrugał oczyma, patrząc takim wzrokiem, że rad byłem, iż mam rewolwer przed sobą.

„— Pan nie znasz mnie widocznie—rzekł.

„— Owszem—odparłem—sądzę, iż widoczne jest, że znam pana. Proszę, siadaj pan. Mogę panu

poświęcić pięć minut, jeżeli masz mi pan co powiedzieć.

„— Domyśliłeś się już pan wszystkiego, co mam panu powiedzieć—rzekł.

„— W takim razie pan domyśliłeś się zapewne mojej odpowiedzi—odrzekłem.

„— Pozostajesz pan niewzruszenie przy swoim?

„— Najzupełniej.

„Profesor wsunął rękę do kieszeni, a ja wziąłem rewolwer ze stołu. Ale on wyjął tylko notatnik, gdzie zapisał kilka dat.

„— Stałeś mi pan na drodze dnia 4 stycznia — zaczął. — Dnia 23-go przeszkodziłeś mi pan; w połowie lutego stałeś się pan dla mnie poważnie niedogodnym; w końcu marca byłem zupełnie skrepowany w wykonywaniu swoich planów; a teraz, w końcu kwietnia, znajduję się, skutkiem pańskiego ciągłego prześladowania, w położeniu takim, że grozi mi poważne niebezpieczeństwo utraty wolności. Sytuacja staje się niemożliwa.

„— Czy masz pan jeszcze co do nadmienia?—spytałem.

„— Panie Holmes, daj pan temu pokój—rzekł, a głowa jego zakolysała się gwałtowniej. — Pan wiesz dobrze, iż musisz dać pokój...

„— Po poniedziałku—odparłem.

„— Jestem pewien—mówił—że człowiek z pańską inteligencją zrozumie, iż ze sprawy tej jest tylko jeden punkt wyjścia. Pan musisz się wycofać. Pokierowałeś pan biegiem rzeczy w taki sposób, że pozostaje nam tylko jeden środek. Widok pańskiego borykania się z tą sprawą był dla mnie

prawdziwą uczta umysłową i, mówię szczerze, że gdybym został zmuszony do przedsięwzięcia jakiego środka ostatecznego, sprawiłoby mi to przykrość. Pan się uśmiecha, a ja zapewniam pana, że byłoby mi istotnie przykro.

„— Niebezpieczeństwo jest nieodłączne od mego zajęcia—zauważyłem.

„— To nie jest niebezpieczeństwo—rzekł—to zguba niechybna. Stoisz pan na drodze nie poprostu jednemu człowiekowi, ale potężnej organizacji, której istotnych rozmiarów, mimo całej swej mądrości, nie mogłeś pan wcale objąć. Panie Holmes, pan musisz się usunąć, albo zostaniesz przez nas zdeptany.

„— Obawiam się — rzekłem, wstając — że dla przyjemności rozmawiania z panem, zaniedbuję ważną sprawę, która czeka na mnie gdzieindziej.

„Profesor Moriarty wstał również i patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu, kiwając smutnie głową.

„— Dobrze, dobrze—rzekł w końcu.—Szkoda, ale zrobiłem, co mogłem. Wiadomy mi jest każdy ruch pana. Nie możesz pan przedsięwziąć nic przed poniedziałkiem. Panie Holmes, to pojedynek między panem a mną. Pan masz nadzieję pobić mnie. Oświadczam panu, że nie pobijesz mnie nigdy. Jeśli jesteś pan taki mądry, że doprowadzisz mnie do zguby, bądź pewien, że ja zrobię z panem to samo.

„— Powiedziałeś mi pan kilka komplementów, panie Moriarty, pozwól zatem, żebym ci się chociaż jednym wywdzieczył. Otóż, gdybym był pewien

pierwszej ewentualności, przystałbym w interesie publiczności z ochotą na ostatnią.

„— Mogę panu przyrzec jedną tylko—syknał, odwrócił się do mnie plecami i rozglądając się bystro dokoła, wyszedł.

„Takie było moje niezwykle spotkanie z profesorem Moriarty. Wyznaję, że pozostawiło mi nie-miłe wrażenie. Jego cichy, dobitny sposób mówienia wzbudza przeświadczenie o szczerości, jakiego prosty awanturnik wywołałby nie mógł. Oczywiście zapytasz: „Dlaczego nie przedsięweźmiesz środków policyjnych przeciw niemu?“ Dlatego, że jestem najmocniej przekonany, iż cios wymierzą jego agenci. Mam tego niezbite dowody.

— Bywałeś już napadany?

— Mój drogi Watson'ie, profesor Moriarty nie jest człowiekiem, który zasypia sprawę. Wyszedłem w południe, by załatwić interes przy ulicy Oxford. Gdy mijalem róg, który prowadzi od ulicy Welbeck, wóz dwukonny, pędząc szalonym galopem, wpadł jak strzała prosto na mnie. Skoczyłem na chodnik i ocalenie swe zawdzięczam ułankowi sekundy. Wóz pomknął przez Marylebone Lane i znikł w jednej chwili. Trzymałem się już tedy chodnika. Watson'ie, ale, gdy szedłem ulicą Vere, spadła nagle z jednego z dachów cegła i rozprysnęła się w kawałki u stóp moich. Wezwałem policyję i kazałem obejrzeć dokładnie dom. Znaleźli na dachu stosy cegieł i blachę, przygotowane jakoby do reparacyi, chcieli we mnie wmówić, że to wiatr strącił właśnie jedną z tych cegieł. Ja byłem oczywiście innego zdania, ale nie mogłem dowieść niezego.

„Potem wsiadłem już do dorożki i pojechałem do brata, na Pall Mall, gdzie spędziłem cały dzień. Teraz zaś, idąc do ciebie, zostałem napadnięty przez jakiegoś łotra, uzbrojonego w pałkę. Pobitem go i jest już w rękach policyi; ale mogę cię z największą stanowczością zapewnić, że nigdy nikt nie wyśledzi najłżejszego związku między owym jegomością, o którego przednie zęby zraniłem sobie palec, a dymisyonowanym profesorem matematyki, który, jestem pewien, siedzi o dziesięć mil ztąd nad swemi zagadnieniami. Nie będziesz się już zatem dziwił, Watson'ie, że, wszedłszy do ciebie, przedewszystkiem pozamykałem okiennice i że byłem zmuszony prosić cię o pozwolenie opuszczenia domu wyjściem mniej widocznym, niż drzwi frontowe.

Odwagę swego przyjaciela podziwiałem często, ale nigdy bardziej, niż teraz, gdy siedział spokojnie wyliczając szereg wypadków, które złożyły się na dzień grozy.

— Zostaniesz u mnie na noc?—spytałem.

— Nie, mój przyjacielu; mogę się stać niebezpiecznym gościem. Mam plan ułożony. Sprawa stoi już tak, że mogą dać sobie radę bezemnie, o ile chodzi o aresztowanie; obecność moja potrzebna będzie tylko dla stwierdzenia tożsamości. Nie mogę zatem uczynić nic lepszego, jak wyjechać na te kilka dni, które mi pozostają, zanim policya będzie miała zupełną swobodę działania. Byłoby mi zatem bardzo przyjemnie, gdybyś mógł pojechać ze mną na kontynent.

— Zajęcia mam teraz niewiele — odparłem — z chęcią pojedę.

— Jutro rano?

— Jeśli trzeba.

— O, tak, trzeba koniecznie. W takim razie dam ci pewne polecenia i proszę cię, mój drogi Watson'ie, żebyś się stosował do nich jaknajściślej, gdyż będziesz prowadził wespół ze mną kampanię przeciw najmądrzejszemu łotrowi i najpotężniejszemu syndykatoowi zbrodniarzy w Europie. Słuchaj zatem! Rzeczy, które zamierzasz zabrać ze sobą, wyślesz przez zaufanego posłańca na stację Wiktoryi dzisiaj wieczorem. Jutro rano pošlesz po dorożkę, poleciwszy służącemu, żeby nie brał ani pierwszej, ani drugiej, jaką spotka. Do tej dorożki wskoczysz i pojedziesz na koniec Strandu, do arkady Lowther; adres podasz dorożkarzowi na kawalku papieru, zaleciwszy mu, żeby go nie rzucał. Miej zapłatę przygotowaną a w chwili kiedy dorożka się zatrzyma, wyskoczysz i przebiegniesz arkadę, tak, byś stanął po przeciwnej stronie, o kwadrans na dziesiątą. Tam znajdziesz karetkę, czekającą na rogu, woźnica będzie miał na sobie duży płaszcz, z czerwoną wypustką dokoła kołnierza. Wsiądziesz do tej karetki i przyjedziesz na stację Wiktoryi w sam czas, żeby wsiąść do ekspresu kontynentalnego.

— A gdzie spotkam się z tobą?

— Na stacyi. Drugi wagon pierwszej klasy na początku pociągu będzie zarezerwowany dla nas.

— A zatem wagon jest miejscem naszego spotkania?

— Tak.

Napróżno prosiłem Holmes'a, żeby został przez

wieczór. Najwidoczniej mniemał, że stanie się powodem jakiego kłopotu dla mnie i ta pobudka skłoniła go do odejścia. Zamieniwszy jeszcze ze mną kilka pośpiesznych słów w sprawie ułożonej wybieżki, Holmes wstał, wyszedł ze mną do ogrodu, przeskoczył przez mur od ulicy Mortimer i niezwłocznie gwizdnął na dorożkę, w której odjechał.

Nazajutrz rano wykonałem polecenia Holmes'a co do joty. Dorożka została sprowadzona z takimi ostrożnościami, że zapobiegły wzięciu tej, która była dla nas przygotowana i pojechałem niezwłocznie po śniadaniu do arkady Lowther, przez którą przebiegłem co tchu. Karetka czekała, a z chwilą kiedy wsiadłem, woźnica, otulony w ciemny płaszcz, zaciął konia i popędził ku stacyi Wiktoryi. Gdym tu wysiadał, woźnica zawrócił i odjechał galopem, nie spoglądając nawet w moją stronę.

Jak dotąd wszystko szło wyśmienicie. Rzeczy czekały na mnie i bez trudności odszukałem wskazany przez Holmes'a wagon, tembardziej, że był to jedyny w pociągu, oznaczony napisem „Zajęty“. Niepokoiłem się jedynie nieobecnością Holmes'a. Zegar stacyjny wskazywał jeszcze tylko siedem minut do odejścia pociągu. Napróżno szukałem wśród grona wyjeżdżających i żegnających smukłej postaci swego przyjaciela. Nigdzie ani śladu. Straciłem kilka minut, dopomagając sędziwemu księdzu włoskiemu, który usiłował wytłumaczyć łamaną angielszczyzną tragarzowi, żeby wyeksperymentował jego pakiety do Paryża. Poczem, rozejrzawszy się raz jeszcze dokoła, powróciłem do swego wagonu, gdzie



zastalem owego starego Włocha, którego mi wsadzono, pomimo napisu, jako towarzysza podróży.

Napróżno usiłowałem wytłumaczyć mu, że jego obecność jest niepożądana, ale moja włoszczyzna była jeszcze słabsza od jego angielszczyzny; wrzuciłem tedy ramionami, zrezygnowany i rozglądałem się w dalszym ciągu z niepokojem, szukając swego przyjaciela. Zimny dreszcz wstrząsnął mnie na myśl, że jego nieobecność mogła być spowodowana tem, iż ugodził w niego cios jakiś w ciągu nocy. Wszystkie drzwi były już pozamykane i rozległ się przeciągły świst gwizdawki, gdy...

— Mój drogi Watsoni'e — odzwał się głos za mną — nie raczyłeś nawet powiedzieć mi dzień dobry.

Odskoczyłem od okna, osłupiały ze zdumienia.

Sędziwy ksiądz zwrócił swą twarz ku mnie. W jednej chwili wygładziły się zmarszczki, nos podniósł się od podbródka, dolna warga przestała opadać, a usta poruszać się, zagasłe oczy odzyskały ogień, pochylona postać wyprostowała się. W następnej chwili wszakże skureczyła się ponownie i Holmes zginął mi z przed oczu równie szybko, jak się ukazał.

— Boże wielki! — krzyknąłem. — A toś mnie przeraził!

— Potrzebna jest jeszcze największa ostrożność — szepnął. — Mam powody do przypuszczenia, że nas ścigają. A... oto i Moriarty sam.

Pociąg ruszył już z miejsca, gdy Holmes mówił te słowa. Spojrzałem przez okno i zobaczyłem wysokiego mężczyznę, który z wściekłością torował

sobie drogę wśród tłumu i kiwał ręką, jakgdyby chciał pociąg zatrzymać. Wszelako było zapóźno, gdyż nabieraliśmy szybkości motorowej i w chwilę później wypadliśmy w pełnym biegu ze stacyi.

— Pomimo wszelkich ostrożności zaledwieśmy się wymknęli, jak widzisz — rzekł Holmes ze śmiechem.

Wstał, zrzucił czarną sutannę i kapelusz, stanowiące jego przebranie i zapakował je do kuferka ręcznego.

— Czytałeś dzienniki poranne, Watsoni'e?

— Nie.

— A więc nie wiesz nic co się stało na ulicy Baker?

— Na ulicy Baker?

— Podpalili tej nocy nasze mieszkanie. Szkody są niewielkie.

— Na Boga żywego, ależ to niesłychane!

— Widocznie utracili mój ślad po zaaresztowaniu tego człowieka z pałką. Inaczej nie byliby przypuszczali, że powróciłem do swego mieszkania. Okazuje się jednakże, iż śledzili ciebie i skutkiem tego Moriarty przyleciał na stacyę. Nie zaniedbałeś chyba żadnej z mych wskazówek?

— Stosowałem się jaknajściślej do nich.

— Znalazłeś karetkę?

— A jakże, czekała.

— Poznałeś woźnicę?

— Nie.

— To był mój brat, Mycroft. W takich wypadkach duża to wygrana, jeśli można nie wtaje-

mniczać człowieka płatnego. Ale teraz musimy się naradzić co począć z Moriarty'm.

— Ponieważ jedziemy ekspresem, a rozkład statku jest do jego rozkładu zastosowany, przeto sądzę, że pozbyliśmy się na dobre pana profesora.

— Mój drogi Watsonie, nie zrozumiałeś mnie widać należycie, gdym ci powiedział, że ten człowiek stoi na tym samym zupełnie poziomie umysłowym co ja. Nie wyobrażasz sobie chyba, że, gdybym ja był ścigającym, zraziłbym się taką małą przeszkodą. Dlaczegoż masz o nim takie lichy pojęcie?

— Cóż on uczyni?

— To, co jabym uczynił.

— A cóżbyś ty uczynił?

— Wziąłbym pociąg umysłny.

— Na to już zapóźno.

— Bynajmniej. Nasz pociąg staje w Canterbury, gdzie trzeba czekać jeszcze z jaki kwadrans na odejście statku. Tam Moriarty nas dogoni.

— Moznaby, doprawdy, pomyśleć, że to my jesteśmy przestępcami. Każmy go zaarrestować, gdy nadjedzie.

— Krok podobny byłby zniweczeniem trzymiesięcznej pracy. Złowilibyśmy wielką rybę, ale małe wymknęłyby się z sieci. W poniedziałek będziemy je mieli wszystkie. Nie, aresztowanie jest niemożliwe.

— Cóż zatem poczniemy.

— Wysiądziemy w Canterbury.

— A potem?

— Potem musimy zboczyć do Newhaven

a ztamtąd do Dieppe. Moriarty zaś zrobi to, co ja bym zrobił. Pojedzie do Paryża, odszuka nasze kufry i będzie czekał przez dwa dni w sali bagażowej. A my tymczasem zaopatrzymy się w duże torby podróżne, będziemy popierali przemysł miejscowy, w krajach, przez które prowadzi nasza droga i z całą swobodą podążymy do Szwajcaryi, przez Luksemburg i Bazyleę.

Jestem zbyt starym podróżnikiem, by utrata kufra mogła mi być w czemkolwiek poważną przeszkodą, ale wyznaję, że gniewała mnie myśl, iż jestem zmuszony jechać krętymi drogami i ukrywać się przed człowiekiem, którego imię splamione było tytuł niesłychanemi zbrodniami. Wszelako Holmes rozumiał widocznie położenie lepiej odemnie. Wyszliśmy tedy w Canterbury i tu dowiedzieliśmy się, że będziemy musieli czekać godzinę, zanim nadejdzie pociąg do Newhaven.

Spoglądałem jeszcze żałośnie za znikającym szybko wagonem bagażowym, który zawierał moją garderobę, gdy Holmes pociągnął mnie za rękaw i wskazał tor kolejowy.

— Już... widzisz?—rzekł.

Daleko z pośród lasu kentyjskiego wydobywała się wąska smuga dymu. W minutę później ukazał się wagon i lokomotywa pędząca ku stacyi. Zdążyliśmy zaledwie ukryć się za stosem kufrow, gdy przemknęła, sycząc, dysząc i buchając nam w twarz obłokiem gorącej pary.

— Oto jedzie — rzekł Holmes, śledząc wzrokiem pociąg lecący po torze. — Jak widzisz inteligencya naszego przyjaciela ma granice. Byłby to

istotnie *coup-de-maitre*, gdyby on był wywnioskował to, co ja, i postąpił odpowiednio.

— A coby on też zrobił, gdyby nas schwytał?

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dopuściłby się zbrodniczego zamachu względem mnie. Ale w tę grę zabawić się może dwóch. A teraz pytanie, czy zjemy tutaj przedwczesne śniadanie, czy też zechcemy narazić się na konanie z głodu, zanim dotrzemy do butetu w Newhaven.

Tej samej nocy pojechaliśmy do Brukselli, gdzie spędziliśmy dwa dni, trzeciego zaś udaliśmy się do Strasburga. W poniedziałek rano Holmes za-telegrafował do policji londyńskiej, a wieczorem zastaliśmy odpowiedź w hotelu. Holmes rozerwał telegram, przeczytał i, klnąc, cisnął go o ziemię.

— Powiniennem był się domyśleć—mruknął.—  
Uciek!

— Moriarty!

— Schwyтали całą bandę, za wyjątkiem jego. Wymknął im się. Oczywiście, gdym ja wyjechał, nikt nie mógł z nim się mierzyć. Ale zdawało mi się, że dałem im w ręce wszystkie karty. Watson'ie, słuchaj, zdaje mi się, że lepiej będzie jak powrócisz do Anglii.

— Dlaczego?

— Dlatego, że będę teraz niebezpiecznym towarzyszem. Ten człowiek został pozbawiony zajęcia. Jeśli powróci do Londynu, jest zgubiony. O ile osądzam go trafnie, wysili on teraz całą swoją energię, by się zemścić na mnie. Dał mi to do zrozumienia podczas naszej krótkiej rozmowy i myślę,

że tak istotnie postanowił. Radzę ci szczerze, wracaj do swojej praktyki.

Rada taka nie miała znaczenia dla kogoś kto był zarówno starym żołnierzem, jak i starym przyjacielem. Siedząc w jadalni w Strasburgu, rozważaliśmy tę kwestyę przez pół godziny, lecz tej samej nocy ruszyliśmy znów w drogę i to do Genewy.

Przez tydzień wędrowaliśmy w malowniczej dolinie Rodanu, a potem, skręcając do Leuk, przeszliśmy przez wąwóz Gemmi, tonący jeszcze w śniegu, i dalej przez Interlaken do Meiringen. Ładna to była wycieczka—delikatna zieleń wiosenna jaśniała w dole, w górze iskrzyła się dziewieza biel zimowa. Holmes wszelako—widziałem to dobrze—nie mógł na chwilę zapomnieć cienia, który go ścigał. W malowniczych wioskach alpejskich czy też w samotnych wąwozach górskich szybkie spojrzenia, jakie rzucał dokoła, bystry wzrok, jakim wpatrywał się w każdą twarz, która nas mijala, wykazywały, iż był przekonany, że gdziekolwiek poszlibyśmy, nie zdołamy uciec przed niebezpieczeństwem, ścigającym nas nieustannie.

Raz, pamiętam, gdyśmy, minawszy Gemmi, szli brzegiem melancholijnego jeziora Dauben, wielki odłam skały oderwał się ze szczytu, stoczył się i runął, po za nami w ton jeziora. Holmes w jednej chwili popędził na szczyt i, stojąc na wierzchołku, wyciągał szyję w różne strony. Daremnie nasz przewodnik zapewniał go, że takie spadanie kamieni zdarzało się w tem miejscu bardzo często podczas wiosny. Mój przyjaciel nie odpowiedział

tylko uśmiechał się do mnie z miną człowieka, który patrzy na spełnienie się tego, czego się spodziewał.

Niemniej jednak, pomimo tej czujności, nie był bynajmniej przygnębiony. Przeciwnie, nie przypominam sobie, żebym go widział w takim świetnym humorze; a przytem ciągle powracał do tego, że gdyby mógł być pewien, iż społeczeństwo zostanie uwolnione od profesora Moriarty'ego, zakończyłby z ochotą swoją karierę.

— Myślę, że mogę ze spokojnem sumieniem powiedzieć, Watsonie, iż nie żyłem zupełnie napróżno—mówił.—W tysiącu wypadkach przeszło nie sądzę, żebym kiedykolwiek użył na złe swych zdolności. Ostatnimi czasy pociągały mnie bardziej zagadnienia, jakich dostarcza przyroda, niż te, powierchowniejsze, za które odpowiedzialny jest sztuczny stan naszego społeczeństwa. Pamiętniki twoje, Watson'ie, zakończą się w dniu, w którym uwieńczę swoją karierę pochwyceciem lub zgładzeniem najniebezpieczniejszego w Europie zbrodniarza.

Będę zwięzły lecz ścisły w tem, co mi pozostaje jeszcze do powiedzenia. Nie jest to przedmiot miły dla mnie, lecz świadomy jestem, że obowiązek nakazuje mi nie opuszczać żadnego szczegółu.

W dniu 3-m maja stanęliśmy w wiosce Meiringen, gdzie zamieszkaliśmy w hotelu *Englischer Hof*, utrzymywanym wówczas przez Piotra Steilera starszego. Nasz gospodarz był człowiekiem inteligentnym i mówił doskonale po angielsku, gdyż służył przez trzy lata jako garson, w hotelu *Grosvenor* w Londynie. Za jego poradą wyruszyliśmy po południu dnia 4-go, z zamiarem wejścia na wzgórze i

przenocowania w schronisku Rosenlauri. Zalecił nam nadto usilnie, byśmy koniecznie w połowie drogi zboczyli dla zobaczenia wodospadów Reichenbach.

Miejscowość to istotnie przejmująca grozą. Potok, wezbrany skutkiem topniejącego śniegu, wpada do bezdennej przepaści, z której tuman piany wznosi się niby słup dymu z płonącego domu. Dookoła tej olbrzymiej rozpadliny wznoszą się lśniące, jak węgiel, czarne skały, a fala potoku, w szalonym pędzie, uderza o nie, rozbryzguje się i, spieniona, skłębiona, znowu wali się w głębię niezmierną. Długie staczające się nieustannie pasmo zielonej wody i gęsta migotliwa zasłona piany, wznosząca się nieustannie w górę, przyprawiają człowieka o zawrót głowy nieprzerwanym wirem i łoskotem. Staliśmy tuż nad krawędzią skały, spoglądając w dół na blask wody, pędzącej w głębię i słuchając nawpół ludzkiej wrzawy, która wraz z pianą, podnosiła się z dna przepaści.

Ścieżka wiedzie w półkole, tak, że można widzieć cały wodospad, ale kończy się nagle i podróżnik musi wracać jak przyszedł. Zawróciliśmy tedy, gdy naraz ujrzelśmy biegnącego ku nam wyrostka, Szwajcara, z listem w ręku. Na kopercie widniała firma hotelu, w którym zamieszkaliśmy a zaadresowana była do mnie przez gospodarza. Okazało się, że, w kilka minut po naszym odejściu, przybyła jakaś Angielka, w ostatnim stadium suchoć. Przejimowała w Davos Platz i jechała teraz do Lucerny, celem spotkania się z przyjaciółmi, lecz w drodze zaskoczył ją nagły krwotok. Godziny jej były, zdaje się, policzone, wszakże widok doktora,



Anglika, przyniosłby jej wielką pociechę; gdybym zatem zechciał łaskawie powrócić i t. d. i t. d. Pożyciwy Steiler zapewniał mnie w dopisku, że przybycie moje uważać będzie za bardzo wielką łaskę, gdyż owa pani nie chce wezwać lekarza Szwajcara, skutkiem czego spada na niego ciężka odpowiedzialność.

Wezwania tego rodzaju nie można pominąć. Niepodobna odmówić żądaniu rodaczki, umierającej w obcym kraju. Wahałem się jednak, nie chciałem zostawić Holmes'a. W końcu postanowiliśmy jednak, że on zatrzyma młodego posłańca, jako przewodnika i towarzysza, gdy ja powrócę do Meiringenu. Przyjaciel mój powiedział, że chce jeszcze pozostać nad wodospadem, a potem pójdzie zwolna do Rosenlauri, gdzie się spotkamy wieczorem. Gdy odwróciłem się, odchodząc, ujrzałem Holmes'a opartego o skałę—stał ze skrzyżowanymi rękoma i wpatrywał się w dół, w rozhukaną falę wody.

Stanąwszy na szczycie zbocza, odwróciłem się ponownie. Z tego miejsca niepodobna było widzieć wodospadu, lecz mogłem dojrzeć prowadzącą do niego przez grzbiet wzgórza wijącą się ścieżkę. Pamiętam, że szedł nią bardzo szybko jakiś mężczyzna. Widziałem czarną postać jego odcinającą się wyraźnie na tle zieleni po za nim. Zauważyłem i jego i pośpiech, z jakim szedł, ale, sam śpiesząc, zapomniałem wnet o nim.

Minęła dobra godzina, zanim doszedłem do Meiringenu. Stary Steiler stał w przedsionku hotelu.

— I cóż — rzekłem, podchodząc śpiesznie do niego — mam nadzieję, że jej nie gorzej?

Wyraz zdumienia przemknął po jego twarzy, a za pierwszym drgnięciem brwi jego serce zaciężyło mi w piersi ołowiem.

— Nie pan to pisał? — rzekłem, dobywając list z kieszeni. — Niema chorej Angielki w hotelu?

— Naturalnie, że nie! — zawołał. — Ale przecież tu jest firma hotelu! Ha! to pewnie napisał ten wysoki Anglik, który przybył, jak panowie odeszli. Powiedział...

Ale nie czekałem już na wyjaśnienia gospodarza. Zdjęty trwogą, biegłem przez wioskę, a potem ścieżką, którą tylko co zeszedłem. Schodziłem godzinę przeszło. Pomimo całych moich wysiłków minęły dwie, zanim znalazłem się znów nad wodospadem Reichenbachu. Kij alpejski Holmes'a stał oparty o skałę, przy której go zostawiłem, lecz śladu jego samego nigdzie nie było i wołałem go daremnie. Jedyłą odpowiedzią był mój własny głos, odbijający się kilkakrotnie echem od skał dookoła.

Widok tego kija alpejskiego przejął mnie śmiertelnym dreszczem, nogi ugięły się podemną. Holmes nie poszedł zatem do Rosenlauri. Pozostał na tej wąskiej ścieżce między ścianą skalistą a wodospadem i tu zaskoczył go nieprzyjaciel. Chłopak odszedł również. Był prawdopodobnie opłacony przez Moriarty'ego i pozostawił obu mężczyzn samych. A wówczas co się stało? Kto mógł opowiedzieć co zaszło wówczas?

Stałem przez kilka minut, zbierając myśli, skamieniały z przerażenia. Potem zacząłem snuć

wnioski metodą Holmes'a i usiłowałem zastosować ją dla odgadnięcia tej tragedyi. Było to, niestety! aż nazbyt łatwe. Rozmawiając nie doszliśmy do końca ścieżki, a kij alpejski oznaczał miejsce, gdzieśmy się zatrzymali. Czarna ziemia, obryzgiwana stale pianą, nie twardnieje nigdy i ptak nawet zostawiłby na niej ślady swoje. Od miejsca, w którym stałem, aż do końca ścieżki wyciśnięte były wyraźnie dwie linie znaków stóp męskich. Odcisków kroków powrotnych nie było. O kilka jardów od końca ziemia była pokopana, a krzaki głogu i paproci, rosnące nad przepaścią, zwieszały się połamane i obryzane błotem.

Położyłem się twarzą do ziemi i spojrzałem w dół, a piana obryzgiwała mnie zewsząd. Mrok już zapadał i mogłem dojrzeć tylko tu i owdzie lśniąca od wilgoci czarną ścianę skały a w głębi rozpadliny migocący blask fali wodnej. Krzyknąłem, lecz do uszu moich powrócił tylko ten sam nawpół ludzki okrzyk wodospadu.

Wszelako przeznaczonem było, abym, pomimo wszystko, otrzymał jeszcze ostatnie słowo pożegnania od swego przyjaciela i towarzysza. Wspomniałem, że jego kij alpejski pozostał oparty o skałę, sterzącą nad ścieżką. Oko moje dostrzegło na szczycie tego głazu jakiś przedmiot błyszczący; wyciągnąłem rękę i przekonałem się, że to papierośnica srebrna, którą Holmes nosił przy sobie. Podniosłem ją i wyleciał z pod niej na ziemię złożony kawałek papieru; rozłożywszy go, przekonałem się, że były to trzy kartki, wydarte z notatnika Holmes'a i zaadresowane do mnie; styl ich był taki zwię-

zły, a pismo takie energiczne i wyraźne, jakgdyby wyszły z gabinetu mego przyjaciela. Szczegół to charakteryzujący dosadnie człowieka.

„Mój drogi Watson'ie”, mówił, „piszę tych kilka wierszy, dzięki uprzejmości pana Moriarty'ego, który czeka, by ostatecznie załatwić nasze sprawy. Skreślił mi metodę, jakiej się trzymał, by uniknąć policyi angielskiej i być zawiadomionym o każdym naszym kroku. Metoda ta potwierdza wysoką opinię, jaką sobie wytworzyłem o jego zdolnościach. Z przyjemnością myślę, że zdołam oswobodzić społeczeństwo od dalszych skutków jego istnienia, jakkolwiek obawiam się, że stanie się to za cenę, która sprawi przykrość moim przyjaciołom, a zwłaszcza Tobie, mój drogi Watson'ie. Wyjaśniłem Ci już wszakże, że moja karyera w każdym razie doszła do punktu kulminacyjnego i że żadne inne jej zakończenie nie mogłoby mi być od tego odpowiedniejsze. Jeśli mam Ci wyznać całą prawdę, to Ci powiem, że byłem przekonany, iż ten list z Meiringenu to pułapka i pozwoliłem Ci odejść, mając prawie pewność tego, co zaszło istotnie. Powiedz inspektorowi Patterson'owi, że papiery, które stanowią materiały dowodowe przeciw bandzie, są w fachu M., w kopercie niebieskiej z napisem „Moriarty”. Przed wyjazdem z Anglii spisałem swoje ostatecznie rozporządzenia i wręczyłem dokument bratu, Mycroftowi. Proszę Cię, pozdrów panią Watson'ową, i wierzaj mi, mój drogi chłopcze, iż jestem Ci  
bardzo szczerze oddany

*Sherlock Holmes.*”

Niewiele słów starczy do powiedzenia tego, co jeszcze pozostaje. Zbadanie miejscowości, dokonane przez biegłych, usunęło prawie wszelką wątpliwość co do tego, że walka między obu mężczyznami zakończyła się tak, jak musiała się zakończyć w warunkach podobnych,—ściśnięci we wzajemnych objęciach runęli w przepaść. Wszelkie usiłowania odszukania ich zwłok byłyby daremne i tam, na dnie tego przerażającego kotła wirującej wody i szczącej piany spoczywać będą na wieki najniebezpieczniejszy zbrodniarz i najwybitniejszy obrońca prawa wśród społecznych.

Owego wyrostka, Szwajcara, nie odnaleziono i nie ulega wątpliwości, że był on jednym z licznych agentów, których Moriarty miał na swych usługach. Co zaś do bandy, publiczność pamięta prawdopodobnie jeszcze jak dokładnie dowody, które Holmes nagromadził, wyjawily ich organizację i jak srodze zaciężyła nad przestępcami ręka nieboszczyka. O strasznym ich dowódcy proces niewiele wyjawil szczegółów, a jeśli zdecydowałem się teraz wyjaśnić jego właściwą karierę, stało się to za sprawą nierozsądnych obrońców, usiłujących oczyścić jego pamięć napaściami na tego, którego zawsze uważać będę za najlepszego i najmądrszego człowieka ze wszystkich znanych mi ludzi.

---

## PUSTY DOM.

---

Wiosną, r. 1894, cały Londyn był zaciekawiony, a świat modny oburzony, zamordowaniem pana Ronalda Adaira, dokonaniem w okolicznościach zupełnie niezwykłych i niezrozumiałych.

Publiczność wiedziała te szczegóły zbrodni, które wyszły na jaw podczas śledztwa policyjnego, lecz innych faktów, narazie, nie uznano za stosowne ujawniać. Teraz dopiero, po latach blisko dziesięciu, wolno mi dodać ogniwa, których dotąd brak było do całości tego szczególnego łańcucha.

Zbrodnia była sama przez się interesująca, lecz zajęcie jakie budziła, było dla mnie niezem, w porównaniu z niespodzianką, która z niej dla mnie wynikła—w całym swoim awanturничем życiu nie doznałem podobnego wstrząśnienia. Nawet teraz, po takim długim przeciągu czasu, dreszcz mnie przebiega na samą myśl o tem, i czuję znów

tę nagłą falę radości, zdumienia i niedowierzania, jaka mnie wówczas ogarnęła...

Niechaj publiczność, która okazywała zainteresowanie czynami i myślami bardzo wybitnego człowieka, niejednokrotnie przezemnie opowiadany mi, nie bierze mi za złe, że nie podzieliłem się z nią swemi wiadomościami; uważałbym to za swój pierwszy obowiązek, gdybym nie był związany wyraźnym zakazem z jego własnych ust, zakazem, który cofnął dopiero trzeciego ubiegłego miesiąca.

Łatwo zrozumieć, że ścisła przyjaźń, jaka mnie łączyła z Sherlockiem Holmes'em, wytworzyła we mnie głębokie zajęcie dla zbrodni wogóle i że, po jego zniknięciu, nie omieszkałem nigdy czytywać pilnie różnych ogłaszanych w dziennikach tajemniczych wypadków; próbowałem nawet niejednokrotnie, dla własnego zadowolenia, stosować jego metodę w rozwiązywaniu krwawych zagadek, lecz z niewielkiem powodzeniem.

Żadna wszakże nie przejęła mnie do tego stopnia co ta tragedia Ronalda Adaira. Przeczytawszy wynik śledztwa, które wykazało rozmyślnie morderstwo, popełnione przez złoczyncę czy też złoczynców niewiadomego nazwiska — jaśniej niż kiedykolwiek zrozumiałem stratę, jaką poniosło społeczeństwo, przez śmierć Sherlocka Holmes'a. Były w tej niezwyklej sprawie punkty, które, jestem pewien, obudziłyby jego szczególne zajęcie, a wysiłki policyi dopełniłaby albo prawdopodobniej wyprzedziła, wytrawna obserwacya i czujny zmysł najpierwszego agenta kryminalnego w Europie. Przez cały dzień nie mogłem myśleć o niczem innem i nie zd o.

łałem znaleźć wyjaśnienia, które wydałoby mi się wystarczającym. Narazając się na to, że opowiadać będę historię już znaną, powtórzę fakty tak, jak stały się wiadome publiczności, po zakończeniu śledztwa.

Pan Robert Adair był drugim synem hrabiego of Maynooth, wówczas gubernatora jednej z kolonii australskich. Matka Adaira powróciła z Australii dla poddania się operacyi katarakty i, wraz z synem Ronaldem i córką Hildą, mieszkała pod nrem 427 przy Park Lane. Młodzieniec obracał się w najlepszym towarzystwie, nie miał, o ile było wiadomo, nieprzyjaciół ani też specjalnych nałogów. Był zaręczony z panną Edytą Woodley, of Carstairs, ale zaręczyny zostały zerwane, za wspólną zgodą, na kilka miesięcy przedtem i nie nie kazalo wnosić, że pozostawiły po sobie ślady bardzo głębokiego uczucia.

Zresztą życie tego mężczyzny obracało się w kółku ciasnem, konwencyonalnem, gdyż miał przyzwyczajenia niewymyślne a naturę mało wrażliwą. A jednak na tego spokojnego młodego arystokratę, w nocy 30 marca 1894 r. między godziną dziesiątą a jedenastą minut dwadzieścia, spadła śmierć, w postaci bardzo osobiwej i niespodziewanej.

Ronald Adair lubił bardzo karty; grywał też stale, lecz nigdy wysoko, tak, że strat nie ponosił. Był członkiem klubów karcianych: „Baldwin“, „Cavendish“ oraz „Bagatelle“. Śledztwo wykazało, że po obiedzie, w dniu śmierci, grał robra wista w tym ostatnim. Grał tam też przed wieczorem. Zeznania



tych, którzy z nim grali—p. Murray, sir Jan Hardy i pułkownik Moran—stwierdziły, że był to istotnie wist i że partnerzy mieli prawie jednakie szanse. Adair przegrał może pięć funtów, nie więcej. Majątek miał duży i taka strata nie mogła mu robić żadnej różnicy. Grywał codziennie to w tym, to w owym klubie, ale był graczem ostrożnym i wstawał zawsze od stolika wygrany. W toku śledztwa okazało się, że wespół z pułkownikiem Moranem wygrał około 420 fst. kilka tygodni przedtem od Godfrey'a Milnera i lorda Balmorala. Tyle z jego dni ostatnich według wyników śledztwa.

W wieczór zbrodni powrócił z klubu punktualnie o piątej. Matka i siostra były z wizytą u kuzynów. Służąca zeznała, że słyszała jak wchodził do pokoju frontowego na dragiem piętrze, który mu służył za bawialnię. Rozpaliła tam była ogień na kominku, a ponieważ powstał dym, przeto otworzyła okno. Z pokoju nie dochodził żaden odgłos, do godziny 11-ej minut dwadzieścia, t. j. do godziny powrotu lady Maynooth i jej córki.

Cheąc powiedzieć synowi dobranoc, zamierzała wejść do jego pokoju, lecz drzwi były zamknięte z wewnątrz i na żadne stukanie i wołanie nie otrzymała odpowiedzi.

Matka wezwała pomocy i wylamano drzwi. Nieszczęśliwy młodzieniec leżał w pobliżu stołu. Głowę miał strasznie okaleczoną kulą rewolwerową, lecz żadnej broni w pokoju znaleźć nie było można. Na stole leżały dwa banknoty dziesięciofuntowe i siedemnaście funtów dziesięć szylingów w srebrze i złocie, ułożonych w małe stosy, różnej wysokości.

Były tam też jakieś kreślenia na kartce papieru, z nazwiskami kilku klubowców, z kąd wnosić należało, że Adair przed śmiercią obliczał stratę czy wygraną w karty.

Dokładne zbadanie okoliczności przyczyniło się tylko do większego zawikłania całej sprawy. Przewszystkiem, nie można było odnaleźć powodu, dla którego młodzieniec zamknął drzwi od wewnątrz. Nasuwało się przypuszczenie, że uczynił to morderca, a potem uciekł przez okno. Było ono wszakże położone o jakie dwadzieścia stóp nad ziemią, a pod niem ciągnął się zagon krokoszów w pełnym rozkwicie.

Ani na kwiatkach ani na ziemi nie było znaku zniszczenia, nie było też śladów na wąskim pasie trawy, który oddzielał dom od drogi. Zdawało się zatem, że Adair sam drzwi zamknął.

Ale w jaki sposób zginął? Nikt nie mógł wejść przez okno, nie pozostawiając śladów. Przypuścisz, że mężczyzna jakiś strzelił przez okno, byłby to istotnie strzelec niepospolity, który mógłby rewolwerem zadać ranę taką śmiertelną.

Z drugiej strony Park Lane jest przejazdem bardzo uczęszczanym, a o sto jardów od domu znajduje się stacya dorożek. Nikt nie słyszał strzału. A jednak był człowiek zabity i kula rewolwerowa, która spowodowała śmierć natychmiastową.

Takie były okoliczności, towarzyszące tajemnicy Park Lane, które stały się bardziej jeszcze skomplikowane zupełnym brakiem powodu zbrodni, skoro, jak wspomniałem, niewiadomo było, aby mło-

dy Adair miał nieprzyjaciół, a nikt nie pokusił się o zabranie z pokoju pieniędzy lub kosztowności.

Przez cały dzień rozważałem te wszystkie fakty, zastanawiałem się nad nimi pilnie, usiłując wpaść na jakiś wątek, któryby je wszystkie pogodził, odnaleźć jakąkolwiek podstawę, która mogłaby stanowić punkt wyjścia dla śledztwa. Wyznaję, że niewielkie uczyniłem postępy.

Wieczorem, przechadzając się po parku, znalazłem się około godziny szóstej przy ulicy Oxford, na końcu Park Lane. Grono gapiów na chodniku, wpatrzonych w jedno okno, naprowadziło mnie na dom, który przyszedłem obejrzeć. Wysoki, szczupły mężczyzna, w niebieskich okularach, otoczony pilnie słuchającą gawiedzią, opowiadał coś żywo; we mnie zbudziło się odrazu podejrzenie, że to może być cywilny agent policyi śledczej; zbliżyłem się tedy i słuchałem go przez chwilę, lecz argumenty jego wydawały mi się takie niedorzeczne, że cofnąłem się zirytowany.

Przepychając się przez tłum, potraciłem starszego, garbatego mężczyznę, któremu wypadło z ręki kilka książek. Pamiętam, że, podnosząc je, zauważyłem na jednej z nich tytuł „Początek czci dla drzew“, i stąd wywnioskowałem, że musi to być jakiś ubogi bibliofil, który, dla handlu, lub własnej przyjemności, zbiera stare i osobliwe książki.

Przeprasiłem go za nieuwagę, ale książki, które tak nieszczęśliwie zmaltretowałem, były widocznie bardzo cennymi przedmiotami w oczach właściciela. Rzuciwszy na mnie pełne wścieklej pogardy

spojrzenie odwrócił się i wnet zaokrąglone plecy jego oraz białe faworyty znikły w tłumie.

Obejrzenie domu pod nrem 427 przy Park Lane mało się przyczyniło do wyjaśnienia zagadki, która mnie zajmowała. Dom oddzielony był od ulicy niskim murem i kratą, wysokości jakich pięciu stóp. Każdy z łatwością tedy mógł dostać się do ogrodu, lecz okno było zupełnie niedostępne, gdyż nie dostrzegłem ani rynny, ani nic takiego po czem możnaby wejść na górę.

Zamyślony, zwróciłem kroki ku Kensington. Zaledwie znalazłem się w swoim gabinecie, służąca weszła z oznajmieniem, że ktoś chce się ze mną widzieć. Ku niemałemu zdumieniu swemu ujrzałem przed sobą owego starego garbatego zbieracza książek, który dźwigał z jaki tuzin tomów.

— Pan jest zdumiony moim widokiem — odezwał się skrzeczącym głosem.

Przyznałem, że tak jest istotnie.

— Otóż ja mam sumienie, proszę pana, a widząc, że pan wchodzi do tego domu, pomyślałem sobie, iż należy wejść także i przeprosić pana. Bo chociaż byłem trochę szorstki w obejściu, ale nie miałem nic złego na myśli i jestem panu bardzo wdzięczny, że pan podniósł moje książki.

— Taka drobnostka, niewarto mówić — odparłem. — A czy wolno zapytać z kąd pan wiedział kim jestem?

— Jestem, za przeproszeniem, sąsiadem wielożnego pana; znajdzie pan moją księgarenkę na rogu ulicy Church; będę bardzo szczęśliwy, jeżeli pan kiedy do mnie zajrzy. A może pan sam też zbiera?...

mam tu „Ptaki brytańskie“ i „Catullusa“ i „Świętą wojnę“... każda z nich unikat. Pięciu tomami mógłby pan, zapłacić tam, na drugiej półce tę dziurę, która tak nieporządnie wygląda... prawda panie?

Skierowałem głowę na półki po za mną, a gdy się znów odwrócił stał przed biurkiem uśmiechnięty Sherlock Holmes.

Zerwałem się na równe nogi, przez chwilę patrzyłem na niego nawpół przytomny i zdaje się, że zemdlałem po raz pierwszy i ostatni w życiu. Szara mgła przesłoniła mi oczy, a gdy się rozproszyła miałem kołnierzyk rozpięty i smak wódki w ustach. Holmes stał pochylony nad moim krzesłem, trzymając w ręku swoją butelkę.

— Mój drogi Watson'ie — zabrzmiał głos, do brze znany. — Winienem ci stokrotne przeproszenie, nie przypuszczałem, że doznasz takiego głębokiego wstrząśnienia.

Chwyciłem go za ramię.

— Holmes! — krzyknąłem. — To ty, naprawdę? Żyjesz istotnie? Zdołałeś się wydostać z tej straszliwej przepaści? czy to podobna?

— Poczekaj chwilę! — odparł. — Czy jesteś pewien, że możesz już słuchać mojej opowieści? Moje niepotrzebnie dramatyczne ukazanie się wzruszyło cię naprawdę.

— Już przyszedłem do siebie, ale, doprawdy, Holmes'ie, zaledwie mogę uwierzyć własnym oczom. Boże wielki! i to ty, ty we własnej osobie stoisz w moim gabinecie?

I znów schwytałem go za rękaw i uczulem pod nim chudą żyłastą rękę.

— Tak... bądź co bądź, to nie duch! Mój drogi chłopcze, nie posiadam się z radości... Siadaj i opowiadaj mi w jaki sposób wydostałeś się żywcem z tej okropnej rozpadliny.

Usiadł naprzeciw mnie i zapalił papierosa w zwykły niedbały sposób. Miał na sobie popielaty garnitur handlarza ksiązek, ale reszta przebrania—stos białych włosów — leżała na stole wraz ze starymi książkami. Holmes schudł jeszcze, a cera twarzy jego nabrała odcienia śmiertelnej bledości, który wykazywał, że zdrowie jego w ostatnich czasach szwankowało.

— Rad jestem, że się mogę wyciągnąć—rzekł.— To nie żarty dla wysokiego mężczyzny odjąć postawie swojej stopę na kilka godzin. A teraz, mój drogi, w sprawie tych wyjaśnień mamy, jeśli mogę cię prosić o współudział, ciężką i niebezpieczną nogę przed sobą. Może będzie lepiej, jeśli opowiem ci swoje dzieje, gdy ta robota się skończy?

— Palę się z ciekawości. Wolalbym usłyszeć je teraz.

— Pójdiesz ze mną dziś w nocy?

— Kiedy zechcesz i dokąd zechcesz.

— Podawnemu! Zdażymy jeszcze przed wyjściem zjeść obiad. A więc, co do przepaści... Nie miałem wielkiej trudności w wydobyciu się z niej dla tej prostej przyczyny, że nigdy w niej nie byłem!

— Nigdy w niej nie byłeś?

— Nie, Watson'ie, nigdy w niej nie byłem.

Moja kartka do ciebie była najzupełniej prawdziwa. Ujrawszy poułą postać nieboszczyka profesora Moriarty'ego na wąskiej ścieżce, nie wątpiłem już prawie wcale, że stanąłem u kresu swojej karyery. W szarych jego oczach wyczytałem zamiar nieublagany. Zamieniłem z nim tedy kilka uwag i otrzymałem pozwolenie napisania krótkiej kartki, którą potem dostałem. Zostawiłem ją z papierośnicą i z laską i poszedłem dalej ścieżką, a Moriarty tuż za mną. Gdy dotarłem do końca, nadeszła rozstrzygająca chwila. Moriarty nie wy dobył broni, lecz rzucił się na mnie i opasał mnie swemi długimi ramięmi. Wiedział, że jego rola skończona i pragnął tylko zemścić się na mnie. Zatoczyliśmy się obaj aż na skraj przepaści. Ale ja mam nieco pojęcia o *baritsu* czyli japońskim sposobie pasowania się, który mi już niejednokrotnie oddawał usługi. Wyślizgnąłem się z jego objęć, a on, ze straszliwym krzykiem, jak waryat, wymachiwał rękoma w powietrzu, lecz, mimo wszelkich usiłowań, nie zdołał utrzymać równowagi i spadł. Pochylony nad przepaścią widziałem jak leciał długo, potem odbił się o skałę i runął w wodę.

Z niesłychanem zdumieniem słuchałem tych wyjaśnień Holmes'a, który mówił z zupełnym spokojem, puszczając kłęby dymu z papierosa.

— Ale ślady!—zawołałem.—Własnymi oczyma widziałem, że dwóch weszło na ścieżkę a żaden nie powrócił.

— Stało się to tak: W chwili, gdy profesor znikł, uprzytomniłem sobie, że los istotnie jest dla

mnie bardzo łaskawy. Wiedziałem, że Moriarty nie był jedynym człowiekiem, który mi śmierć poprzyściągł. Istniało przynajmniej trzech innych ludzi, których chęć zemsty na mnie spotęgowałaby się niewątpliwie skutkiem śmierci przewodnika. Wszyscy byli bardzo niebezpiecznymi ludźmi, zemsta jednego z nich dosięgłaby mnie z pewnością.

„Z drugiej strony, gdy cały świat będzie przekonany, że ja nie żyję, ci ludzie zaczną sobie pozwalać na różne rzeczy, będą działali swobodniej, tak, że, prędzej czy później zdołałbym ich pognać i potem byłby czas zawiadomić, że znajduję się jeszcze w kraju żyjących. Mózg pracuje tak szybko, iż zdaje mi się, że przemyślałem to wszystko, zanim profesor Moriarty spadł na dno wodospadu Reichenbachu.

„Wstałem i obejrzałem skalistą ścianę, która wznosiła się po za mną. W swoim malowniczym opisie całego zajścia, który czytałem z wielkim zajęciem w kilka miesięcy później, zapewniasz, że ściana była całkowicie gładka. Otóż to niezupełna prawda. Przy bliższym zbadaniu okazało się, że było tam na czym oprzeć stopy a wyżej istniały nawet spore płaszczyzny. Skala jest taka wysoka, że wdrapanie się na nią wydało mi się narazie zupełną niemożliwością; równie niemożliwym było wszakże podążenie wilgotną ścieżką, bez pozostawienia śladów. Po namyśle zdecydowałem się jednak zryzykować wejście na skałę.

„Nie była to miła robota, Watson'ie. Wodospad szumiał podemną. Nie jestem imaginacyjny,



ale daję ci słowo, że zdawało mi się, iż słyszę głos Moriarty'ego, wołający mnie z głębi przepaści. Pomyłka byłaby fatalna. Niejednokrotnie, gdy kępy trawy wymykały się z mojej ręki, albo noga obsuwała mi się na śliskiej skale, myślałem że już po mnie. Ale wspinałem się w górę niezamordowanie i wreszcie dotarłem do tak obszernej, pokrytej miękkim mehem, wystającej nad wodospadem, płaszczyzny, że mogłem na niej, niewidziany, leżeć wygodnie. I tam też spoczywałem wyciągnięty, gdy ty, mój drogi, i twoi towarzysze usiłowaliście z całym przejęciem i bezskutecznie zbadać okoliczności mego zgonu.

„W końcu, gdy wszyscy wysnuliście nieuniknione a zupełnie błędne wnioski i powróciliście do hotelu, pozostałem sam. Mniemałem, że przygody moje skończyły się, lecz fakt bardzo niespodziany wykazał mi, iż czekały mnie jeszcze niespodzianki. Olbrzymi odłam skały, spadający z góry, potoczył się nademną na ścieżkę i runął w przepaść.

„Zrazu myślałem, że to przypadek; ale w następnej chwili, spojrzawszy w górę, dostrzegłem, głowę mężczyzny i drugi kamień spadł o jaką stopę od mojej głowy. Oczywiście znaczenie tego było jasne, Moriarty nie był sam. Sprzymierzeniec — a przekonałem się dowodnie jaki niebezpieczny — stał na straży, gdy profesor napadł na mnie. Z odległości, niewidziany przezemnie, był świadkiem zgonu swego przyjaciela i mojego ocalenia. Czekał na stosowną chwilę, a potem, obszedłszy skałę dookoła, dostał się na jej szczyt i usiłował dokonać tego, co nie powiodło się przyjacielowi.

„Niedługo mogłem zastanawiać się nad tem. Ujrzałem znów tę straszną twarz, patrzącą z nad skały i wiedziałem, że to zapowiedź nowego kamienia. Trzeba było dostać się napowrót na ścieżkę. Nie sądziłem, że mógłbym to uczynić z zimną krwią. Zejść trudniej było stokroć niż wejść. Ale nie miałem czasu myśleć o niebezpieczeństwie, gdyż w chwili, gdy zawisłem na skale, trzymając się rękoma krańca płaszczyzny, znów kamień świsnął mi nad uchem. W połowie drogi obsunąłem się, ale, z pomocą boską, pokrwawiony, w ubraniu w strzępach, stanąłem na ścieżce. Wówczas wziąłem nogi za pas i przebiegłem dziesięć mil <sup>1)</sup> przez góry wśród ciemności, a w tydzień później byłem we Florencyi, mając tę pewność, że nikt na świecie nie wie, co się ze mną stało.

„Jednego tylko miałem powiernika—brata swego Mycrofta. Winienem ci stokrotne przeproszenie, mój drogi Watson'ie, ale rzeczą niesłychanej wagi było żeby wszyscy myśleli, iż umarłem: Nie byłbyś z pewnością skreślił takiego przekonywającego opisu mego nieszczęśliwego końca, gdybyś sam nie miał przeświadczenia, iż tak jest w istocie.

„Kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat trzech brałem do ręki pióro, by napisać do ciebie, ale bałem się zawsze, że twoje przywiązanie do mnie znievoli cię do jakiej niedyskrecyi, która zdradzi moją tajemnicę. Z tego powodu odwróciłem się od ciebie dzisiaj, gdy podniosłeś moje książki, groziło mi

<sup>1)</sup> angielskich (*Przyp. tłum.*)

bowiem niebezpieczeństwo, a najłżejsza oznaka zdziwienia i wzruszenia z twojej strony zwróciłaby uwagę na moją osobę i doprowadziłaby do najopłakaniejszych skutków.

„Co do Mycrofta, musiałem mu się zwierzyć, dla otrzymywania potrzebnych pieniędzy. Bieg wypadków w Londynie nie był taki pomyślny, jak przypuszczałem, gdyż wyrok w procesie przeciw zgrai Moriartyego zostawił na wolności dwóch najniebezpieczniejszych jej członków, moich najmściwszych nieprzyjaciół. Dlatego podróżowałem przez dwa lata po Tybecie, zwiedziłem Lhasę i spędziłem kilka dni z Dalajlamą.

„Czytałeś niewątpliwie o niezwykłych odkryciach Norwegezyka, nazwiskiem Sigerson, ale pewien jestem, że nie wpadło ci nigdy na myśl, iż były to nowiny o twoim przyjacielu. Następnie przejechałem przez Persyę, zajrzałem do Mekki i złożyłem krótką ale zajmującą wizytę kalifowi Khar-tumu, której wyniki zakomunikowałem naszemu urzędowi spraw zagranicznych. Wracając do Francji, spędziłem kilka miesięcy na przeprowadzaniu doświadczeń w laboratorium chemicznym w Montpellier, na południu Francji. Ukończywszy doświadczenia z wynikiem pomyślnym i dowiedziawszy się, że tylko jeden z moich wrogów pozostał teraz w Londynie, zamierzałem powrócić, gdy wiadomość o niezwykłej tajemnicy przy Park-Lane przyspieszyła mój wyjazd. Fakt był dla mnie interesujący nie tylko sam przez się, ale nastęrczał mi zdumiewające sposobności w sprawie osobistej.

„Przybyłem niezwłocznie do Londynu, zgłosiłem się we własnej osobie na ulicę Bakera, przyprowadziłem panią Hudson o gwałtowne spazmy i przekonałem się, że Mycroft zachował moje mieszkanie i papiery zupełnie w dawnym stanie. Tak tedy, mój drogi Watson'ie, o godzinie drugiej dzisiaj znalazłem się w swoim starym fotelu, w swoim dawnym pokoju, pragnąc jedynie widoku swego starego przyjaciela, Watson'a na drugim fotelu, który zdobył tak często“.

Tak brzmiała opowieść, jakiej słuchałem owej wieczora kwietniowej—opowieść, która byłaby dla mnie zupełnie niewiarogodna, gdyby jej nie potwierdzał widok wysokiej, szczupłej postaci i wybitnej, inteligentnej twarzy, nazawsze, w moim mniemaniu, dla mnie straconej. Holmes dowiedział się już w jakiś sposób o moim smutnym osieroceniu, a współzucie jego objawiało się raczej w obejściu, niż w słowach.

— Praca jest najlepszym lekarstwem na smutek, mój drogi—rzekł—a mam dla nas obu na noc dzisiejszą kawał roboty; jeśli nam się powiedzie wykonać ją z powodzeniem, to już ten jeden czyn usprawiedliwi istnienie człowieka na naszej planecie.

Napróżno prosiłem, żeby mi powiedział co więcej.

— Usłyszysz i zobaczysz dosyć, zanim jutro zaświta—odparł.—Mamy trzy lata minione do omówienia. Niechaj nam to wystarczy do pół do dziesiątej, a potem wyruszymy na wielką przygodę do pustego domu.

I wróciły się dawne czasy. Siedziałem obok Holmes'a w dorożce, z rewolwerem w kieszeni, z dreszczem oczekiwania w duszy. Holmes był zimny i milezący. W blasku latarni ulicznych widziałem, że brwi miał ściągnięte w natężeniu myślowem a wąskie usta zaciśnięte.

Nie wiedziałem na jaką dziką bestyę polować będziemy w ciemnym gąszczu zbrodniczego Londynu, ale, sądząc z postawy tego mistrza myśliwych, nabrałem pewności, że przygoda jest bardzo poważna; uśmiech sardoniczny, który od czasu do czasu rozjaśniał na sekundę twarz posępnego przyjaciela mało wróżył dobrego przedmiotowi naszej wyieczki.

Wyobraziłem sobie, że celem naszym jest ulica Bakera, tymczasem Holmes kazał dorożce stanąć na rogu Cavendish Square. Zauważyłem, że, wysiadając, rzucił badawcze spojrzenie w prawo i w lewo, a na każdym następnym rogu oglądał się pilnie, czy nie jest ścigany. Wielce osobliwa była nasza droga. Holmes miał niepospolitą znajomość zaułków londyńskich, a tym razem przechodził szybko i pewnym krokiem przez sieć komórek i stajni, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Nareszcie znaleźliśmy się na wąskiej drodze, wzdłuż której ciągnęły się z obu stron stare, ponure domy; droga ta zaprowadziła nas na ulicę Manchester, a ztamtąd na Blandford. Tutaj Holmes skręcił śpiesznie w wąskie przejście, wszedł przez bramę drewnianą na pusty dziedziniec, a potem otworzył z klucza tylne drzwi domu. Weszliśmy razem, poczem Holmes drzwi zamknął.

Dokola panowała zupełna ciemność, ale miałem świadomość, że jestem w pustym domu. Podłoga trzeszczała pod naszymi skrzypiącymi butami, a moja wyciągnięta ręka dotykała ściany, z której zwieszały się strzępy tapety. Zimne, cienkie palce Holmesa objęły moją rękę w kostce i poprowadził mnie naprzód, długim korytarzem aż wreszcie ujrzałem mroczne światło ponad drzwiami.

Tutaj Holmes zwrócił się nagle na prawo i znaleźliśmy się w dużym, kwadratowym, pustym pokoju, słabo oświetlonym w samym środku jedynie blaskiem, padającym od latarni ulicznych. Szyby pokryte były grubą warstwą kurzu, tak, że mogliśmy tylko rozróżnić wzajemnie własne postaci. Mój towarzysz położył mi dłoń na ramieniu i przytknął usta tuż do ucha.

— Czy wiesz, gdzie jesteśmy?—szepnął.

— To jest napewno ulica Bakera — odparłem, patrząc z natężeniem przez brudną szybę.

— Właśnie. Jesteśmy w Camden House, który stoi naprzeciw naszego dawnego mieszkania.

— Ale dlaczego jesteśmy tutaj?

— Dlatego, że mamy ztąd świetny widok na ten malowniczy gmach... Czy mogę cię prosić, mój drogi, żebyś się nieco zbliżył do okna i spojrzął na nasze dawne mieszkanie... tylko ostrożnie, nie pokazuj się... na te pokoje, z których wyruszaliśmy na tyle przygód... Zobaczymy, czy trzy lata nieobecności pozbawiły mnie zupełnie władzy wprawiania cię w zdumienie.

Posunąłem się ostrożnie naprzód i spojrzałem na dobrze znane okno. Gdy wzrok mój na nie padł,

dech zamarł mi w piersi, wydałem stłumiony okrzyk. Roleta była spuszczone, a w pokoju paliło się silne światło. Na rolecie odcinał się ostro cień mężczyzny, siedzącego w fotelu. Kształt głowy, barezyństwo ramion, ostrość rysów nie dopuszczały pomyłki. Twarz była nawpół ku mnie zwrócona, a całość robiła wrażenie jednej z tych czarnych sylwetek, które nasi dziadkowie z upodobaniem oprawiali w ramki.

Miałem przed sobą znakomitą kopię Holmes'a. Oslupienie moje było takie wielkie, że wyciągnąłem rękę, ażeby się przekonać, iż on sam stał przy mnie. Trząśnięcie się od tłumionego śmiechu.

— I cóż?—spytał.

— Boże wielki!—krzyknąłem.—To niesłychane!

— Spodziewam się, że wiek nie przytępią mojej pomysłowości — rzekł Holmes, a w głosie jego zadźwięczała radość i duma, jaką odczuwa artysta dla swego tworu.—Podobny do mnie, nieprawda?

— Byłbym gotów przysiąc, że to ty.

— Zasluga wykonania należy się panu Oskarowi Meunier'owi z Grenoble, który spędził kilka dni na modelowaniu. To popiersie z wosku. Resztę urządziłem sam, podczas wizyty przy ulicy Bakera dziś popołudniu.

— Ale dlaczego?

— Dlatego, mój drogi, że mam ważne przyzyny pragnąć, ażeby pewne osoby myślały, iż jestem tam, w tem mieszkaniu, gdy w istocie przebywam gdzieindziej.

— A sądzisz, że mieszkanie jest śledzone?

— Wiem o tem napewno.

— Przez kogo?

— Przez moich dawnych wrogów. Przez miłe towarzystwo, którego przywódca spoczywa na dnie wódospadu Reichenbachu. Nie zapominaj, że oni, oni jedni tylko, wiedzieli, iż żyję jeszcze. Przepuszczali, że, prędzej czy później powrócę do swego mieszkania. Pilnowali je ciągle, a dziś rano widzieli jak zajechałem.

— Zkąd wiesz?

— Bo poznałem ich wartownika, wyjrzawszy oknem. Nazywa się Parker, opryszek z zawodu, ale niezbyt niebezpieczny. Nie dbam o niego. Ale dbam bardzo o groźniejszego człowieka, który był po za nim, o najbliższego przyjaciela Moriarty'ego, o tego, który zrzucał skały na mnie, a który jest najprzebieglejszym i najniebezpieczniejszym zbrodniarzem w Londynie. Ten to człowiek ściga mnie dzisiaj, Watson'ie, i ten sam człowiek nie wie, że my *jego* ścigamy.

Plany mego przyjaciela odsłaniały się stopniowo. Z tej wygodnej kryjówki śledzący byli śledzeni, a tropiący tropieni. Ów cień na rolecie stanowiął przynętę, a my byliśmy myśliwymi.

Staliśmy razem w milczeniu, wśród ciemności, śledząc pilnie postaci, które szły ulicą. Holmes był cichy i nieruchomy, ale oczu nie odwracał od przechodniów. Noc była burzliwa, wicher wył przeraźliwie. Ludzie szli śpiesznie, otuleni w płaszcze z nastawionymi kołnierzami. Raz czy dwa razy zda-



wało mi się, że widziałem jedną i tę samą postać, a potem zauważyłem dwóch mężczyzn, którzy jakby się schronili przed wiatrem w bramie domu, w pewnej od nas odległości. Usiłowałem zwrócić uwagę swego przyjaciela na nich, ale on poruszył się tylko niecierpliwie i w dalszym ciągu wpatrywał się w ulicę.

Kilkakrotnie przestępował z nogi na nogę i bębnił gorączkowo palcami po ścianie. Widziałem, że zaczynał się niecierpliwie i że nie wszystko szło mu po myśli. W końcu, gdy zbliżała się północ, a ulica opustoszała stopniowo, Holmes zaczął chodzić po pokoju w niesłychanym wzburzeniu. Chciałem już zrobić jakąś uwagę, gdy, mimowoli, wzrok mój padł na oświetlone okno i ponownie doznałem nie mniej silnego wrażenia, jak przedtem. Chwyciłem Holmes'a za ramię i wskazałem w górę.

— Cień się poruszył! — krzyknąłem.

Istotnie już nie profilem, ale plecami był do nas zwrócony.

— Naturalnie, że się poruszył — odparł Holmes. — Czym ja taki niedołężny partacz, Watsonie, żebym mógł przypuszczać, że postawię zwyczajny manekin i że jeden z najbystrzejszych ludzi w Europie da się na to złapać? Spędziliśmy tam w pokoju dwie godziny i pani Hudson zmieniała postawę tej figury osiem razy, czyli co kwadrans. Dokonywa tego z przodu, tak, że cień jej nigdy nie może być widoczny... A!...

Odetchnął głośno, głęboko. W niepewnym świetle ujrzałem głowę jego naprzód podaną, cała postać wyprężyla się w oczekiwaniu. Ulica była

zupelnie pusta. Owi dwaj mężczyźni stali może jeszcze w bramie, ale ja ich już dostrzedz nie mogłem. Dokoła panowała cisza i ciemność, świeciła tylko żółtawa roleta przed nami, z czarną figurą, zarysowującą się na samym środku. I znów wśród absolutnej ciszy dobiegł mnie cichy syczący dźwięk, który mówił o naprężonem, tłumionem wzburzeniu.

W chwilę później Holmes wepchnął mnie w najciemniejszy kąt pokoju i uczulem jego ostrzegającą dłoń na ustach. Palce, które pochwyciły moje ramię drżały. Nie widziałem jeszcze przyjaciela swego w takim wzruszeniu, jednak ulica ciągnęła się przed nami pusta i cicha.

Ale nagle ogarnęła mnie świadomość tego, co jego bystrzejsze zmysły już zauważyły. Uszu moich dobiegł odgłos cichych skradających się kroków, nie w kierunku ulicy Bakera, ale z domu, w którym staliśmy ukryci. Drzwi otworzyły się i zamknęły. W chwilę później kroki skradały się korytarzem — kroki, które usiłowały być cichymi, lecz rozlegały się głośno w pustym domu.

Holmes przycisnął się do ściany, a ja uczyniłem to samo, objąwszy dłonią rękojeść rewolweru. Wyteżając wzrok wśród ciemności dostrzegłem zarysy postaci męskiej, nieco czarniejsze niż czarny otwór drzwi. Stał przez chwilę, a potem wsunął się do pokoju skulony, groźny.

Złowroga ta postać była zaledwie o trzy jardy od nas oddalona, a ja przygotowałem się już, by napaść jej odeprzeć, zanim uprzytomniłem sobie, że przybysz nie ma pojęcia o naszej obecności. Minał nas, podkradł się do okna i ostrożnie, bez sze-

lestu zupełnie podniósł je na pół stopy. \*) Gdy zaś schylił się do poziomemu tego otworu, światło uliczne, nie przyémione już zakurzoną szybą, padło całym blaskiem na twarz jego.

Malowało się na niej niesłychane wzburzenie. Oczy świeciły, jak rozżarzone węgle, a rysy drgały konwulsyjnie. Był to już człowiek starszy, nos miał wybitny, czoło wysokie, czaszkę lysą i wielkie siwe wąsy. Cylinder zesunął na tył głowy, a śnieżny gors frakowej koszuli jaśniał pod rozpiętym paltotem. Twarz miał chudą, śniadą, zoraną głębokimi bruzdami. W rękę trzymał laskę, jak mi się zrazu zdawało, ale gdy położył ją na ziemi rozległ się brzęk metaliczny. Potem wyjął z kieszeni paltota jakiś duży przedmiot i coś w koło niego robił, aż wreszcie dosłyszałem głośny, krótki trzask, jakgdyby zapadła sprężyna lub zamek.

Kłęcząc ciągle na ziemi, pochylił się naprzód i całym ciężarem, całą siłą oparł się na jakimś drągu, poczem znów rozległ się głośny trzask. Wówczas wyprostował się i spostrzegłem, że trzyma w rękę strzelbę z dziwaczną kolbą. Odwiódł kurek, włożył coś wewnątrz, potem ukląkł znów, położył lufę na parapet otwartego okna i widziałem roziskrzzone oczy jego, słyszałem lekkie westchnienie zadowolenia, gdy przykładał kolbę do ramienia; spostrzegłem, jak ten zdumiewający manekin, ów czarny mężczyzna na żółtem tle stał wyprostowany.

---

\*) Okna w domach angielskich nie otwierają się jak nasze, lecz są przepołowione w poprzek, a dolna część podsuwa się w górę. (*Przyp. tłum.*)

Przez chwilę nasz tajemniczy towarzysz nie poruszał się; poczem palce jego zacisnęły się dokoła kurka, rozległ się świst i przeciągły srebrzysty brzęk tłuczonego szkła.

W tejże sekundzie Holmes, jak tygrys, skoczył na plecy owego mężczyzny i powalił go twarzą na ziemię. Ale on zerwał się natychmiast i z konwulsyjną siłą chwycił Holmesa za gardło; wówczas uderzyłem go w głowę kolbą swego rewolweru i upadł ponownie na ziemię. Rzuciłem się na niego, a gdym go trzymał, towarzysz mój gwizdnął na świstawce. Na bruku rozległ się odgłos biegnących kroków i dwaj policyjanci w mundurze, z agentem śledczym po cywilnemu wpadli przez wejście frontowe, a potem do pokoju.

— To ty Lestrade?—rzekł Holmes.

— Tak jest, panie Holmes. Podjąłem się roboty sam. Dobrze, że pan powrócił do Londynu.

— Sądzę, że potrzeba ci trochę pomocy nieurzędowej. Trzy niewykryte morderstwa w ciągu jednego roku to na nic, Lestrade. Ale sprawiłeś się z tajemnicą Molesey z mniejszą niż zwykle... to jest sprawiłeś się dosyć dobrze.

Podnieśliśmy się wszyscy — naszego więźnia trzymał z każdej strony silny policyjant. Kilku gapiów zebrało się już przed domem. Holmes podszedł do okna, zamknął je i spuścił rolety. Lestrade wydobyl dwie świece, a policyjanci odsłonili swe latarki. Mogłem tedy nareszcie przyjrzeć się dobrze naszemu więźniowi.

Twarz zwrócona ku nam była bardzo energiczna i ponura. Ten człowiek, o czole filozofa i szczęce

sensualisty, obdarzony był niewątpliwie wielkimi zdolnościami do dobrego lub złego. Spoglądając na jego okrutne niebieskie oczy, na nos spiczasty, wystający, na groźne szerokie brwi, niepodobna było jednak niedopatrzyć się w tem wszystkim najwyraźniejszych oznak niebezpieczeństwa, nakreślonych przez naturę. Nie zwracał uwagi na żadnego z nas, lecz miał oczy utkwione w twarzy Holmesa z wyrazem nienawiści i podziwu zarazem.

— Szatanie! — pomrukiwał. — O, ty przemądry szatanie!

— Ach, pułkowniku! — rzekł Holmes, poprawiając pognieciony kołnierzyk; — „podróże kończą się spotkaniem kochanków“, jak mówi stara komedya. Zdaje mi się, że nie miałem przyjemności widzenia pana od owej chwili, kiedyś pan łaskawie obdarzał mnie swemi atencyami, gdym leżał na skałe, ponad wodospadem Reichenbach.

Pułkownik wpatrywał się nieustannie w mego przyjaciela jak człowiek w transie.

— Ach, ty przebiegły szatanie! — powtarzał tylko.

— Nie przedstawiłem pana jeszcze — rzekł Holmes. — Oto, panowie, Sebastyan Moran, niegdyś pułkownik armii indyjskiej jej królewskiej mości, najlepszy strzelec z ciężkiej broni, jakiego wydało nasze cesarstwo wschodnie. Mniemam, iż nie myłę się pułkowniku, utrzymując, że twoja zasadzka na tygrysy pozostaje dotąd bez konkurencyi?

Ponury starzec nie odpowiedział, wpatrując się nieustannie w mego towarzysza, a dzik

wzrok i sumiaste wąsy czyniły go samego do tygrysa podobnym.

— Dziwię się bardzo, że taki prosty wybieg mógł zmylić takiego wytrawnego żołnierza — rzekł Holmes. — Przecież musi panu być znany. Czyżes pan sam nie przywiązał tygrysiątka pod drzewem, na którym czekałeś ze strzelbą, aby ci przynęta zwabiła tygrysa? Ten pusty dom jest mojem drzewem, a ty jesteś moim tygrysem. Miałeś prawdopodobnie inne strzelby w rezerwie, w razie gdyby tygrysów było kilka. Oto—powiódł ręką dokoła—są moje inne strzelby. Paralela jest ścisła.

Pułkownik Moran rzucił się naprzód z wściekłym przekleństwem, ale policyanci powstrzymali go. Straszny był w tej chwili.

— Wyznaję, że zgotowałeś mi pan małą niespodziankę—rzekł Holmes. — Nie przypuszczałem, żebyś pan zużytkował ten pusty dom i to wygodne okno frontowe. Wyobrażałem sobie, że będziesz operował z ulicy, gdzie mój przyjaciel Lestrade i jego weseli towarzysze czekali na ciebie. Za wyjątkiem tego jednego faktu, wszystko poszło tak, jak się spodziewałem.

Pułkownik Moran zwrócił się do agenta śledczego.

— Możesz pan mieć słuszny lub niesłuszny powód do zaareztowania mnie—rzekł—ale nie widzę przyczyny, dla której miałbym być narażony na szyderstwa tego człowieka. Jeżeli jestem w mocy prawa, niechaj bieg rzeczy będzie legalny.

— Coprawda, ma słuszość—rzekł Lestrade.—  
Żadnych poleceń więcej dla nas, panie Holmes?

Holmes podniósł z ziemi potężną strzelbę i oglądał jej mechanizm.

— Kapitalna broń — rzekł — cicha i olbrzymiej siły. Znałem von Herdera, niewidomego mechanika niemieckiego, który ją zbudował z polecenia nieboszczyka profesora Moriarty'ego. Przez lata całe wiedziałem o jej istnieniu, jakkolwiek nigdy nie miałem sposobności przyjrzenia się jej zbliska. Polecam ją twej specyalnej uwadze, Lestrade, a także kule, które do niej pasują.

— Może pan być spokojny, panie Holmes, będziemy jej pilnowali — odparł Lestrade, gdy całe towarzystwo zwróciło się ku drzwiom.—Czy ma pan jeszcze co do powiedzenia?

— Chcę cię tylko zapytać, jak wypadek ten określiasz?

— Jakto? Oczywiście jako usiłowanie zamordowania pana Sherlocka Holmes'a.

— Nie, Lestrade! Nie chcę być w tej sprawie wymieniany. Tobie i tobie jedynie przypada w udziale zasługa dokonania tego ważnego aresztu. Tak, Lestrade, winszuję ci! Dzięki swej szczęśliwej mieszaninie przebiegłości z odwagą schwytałeś go.

— Schwytałem go! Schwytałem kogo, panie Holmes?

— Człowieka, którego cała policja szukała daremnie... Pułkownika Sebastjana Morana, który zastrzelił Ronalda Adaira przez otwarte frontowe okno na drugim piętrze, pod № 427 Park - Lane,

dnia 30-go ubiegłego miesiąca. Tak brzmi oskarżenie, Lestrade. A teraz, Watson'ie, jeśli możesz znieść przeciąg, spowodowany potłuczoną szybą, myślę, że pół godziny spędzonej przy cygarze w moim gabinecie będzie ci pożądaną rozrywką.

.....

Nasze dawne mieszkanie pozostało bez zmiany żadnej, dzięki rozporządzeniu Mycrofta Holmes'a i staraniom bezpośrednim pani Hudson. Wszedłszy, zauważyłem, co prawda, niezwykłą czystość, ale cechy charakterystyczne pozostały—był i „kątek chemiczny” i stół zniszczony, pełen plam, wygryzionych różnemi kwasami. Na półce widniał szereg potężnych notatników i dokumentów, które niejedyn nasz współobywatel spaliłby chętnie. Dyagramy, pudło ze skrzypcami i fajka—nawet perski pantofel z tytoniem, wszystko to uderzyło mój wzrok odrazu.

W gabinecie znajdowała się pani Hudson, która przyjęła nas rozpromienionym uśmiechem i ów dziwaczny manekin, który odegrał taką ważną rolę w przygodach tego wieczora. Była to woskowa kopia mego przyjaciela, znakomicie odrobiona; stała na małym stoliku, ubrana w stary szlafrok Holmes'a, tak, że złudzenie z ulicy było zupełne.

— Mam nadzieję, pani Hudson, że wszelkie ostrożności zostały zachowane,—rzekł Holmes.



— Podchodziłam tylko na klęczkach, tak, jak mi pan zalecił.

— Doskonale. Sprawiała się pani bardzo dobrze. Czy pani wie dokąd poleciała kula?

— Wiem. Obawiam się, że popsukała to śliczne popiersie, bo przeszła prosto przez głowę i splaszczyla się na ścianie. Podniosłam ją z dywanu. Oto jest!

Holmes pokazał mi ją.

— Kula rewolwerowa, jak widzisz. Pomysł genialny... bo kto mógłby się spodziewać, że taka kula pochodzić będzie ze strzelby? Doskonale pani Hudson, jestem pani bardzo wdzięczny za pomoc. A teraz, Watson'ie, niechże cię znów ujrzę w twojem dawnem krześle, bo jest kilka punktów, o których chciałbym z tobą porozmawiać.

Zrzucił długi surdut, ubrał się w szary szlafrok, który zdjął ze swego sobowtóra i był już teraz zupełnie dawnym Holmes'em.

— Nerwy starego żołnierza nie osłabły, a o czy nie utraciły bystrości—rzekł ze śmiechem, oglądając strzaskane czoło swego popiersia.

— Prosto w sam środek tyłu głowy i przez mózg na wylot... Najlepszy z niego był strzelec w Indjach, a spodziewam się, że mało jest lepszych w Londynie. Czy słyszałeś już kiedy jego nazwisko?

— Nie, nigdy.

— Ot, masz, co znaczy sława! Ale, jeśli dobrze pamiętam, toś ty nie słyszał również nazwiska profesora Jakóba Moriarty'ego, który miał jeden

z najkapitałniejszych mózgów stulecia. Dajno mi z półki spis życiorysów.

Obracał kartki leniwie, rozparty w krześle, puszczając wielkie kłęby dymu z cygara.

— Mój zbiór pod literą *M* jest niepospolity— rzekł. — Moriarty sam wystarczy do uświetnienia każdej litery, a tu mamy jeszcze Morgana truciciela i Morridew'a, ohydnej pamięci i wreszcie naszego dzisiejszego przyjaciela.

Podał mi książkę i przeczytałem, co następuje:

*Moran Sebastian, pułkownik.* Wyszedł ze służby czynnej. Służył niegdyś w I pułku pionierów bengalskich. Urodzony w Londynie 1840. Syn sir Augusta Morana, byłego ministra brytyjskiego w Persyi. Kształcił się w Etonie i Oksfordzie. Uczestniczył w wyprawie do Jowaki, afgańskiej, do Charasiabu, Sierpuru i Kabulu. Autor dzieł: „Trudna przeprawa przez Himalaje zachodnie”, 1881; „Trzy miesiące w dżungli” 1884. Adres: ulica Conduit. Kluby: Anglo-indyjski, Tankerville, klub karciany Bagatelle“.

Na marginesie napisane było pewną ręką Holmes'a:

„Drugi niesłychanie niebezpieczny człowiek w Londynie“.

— Rzecz zdumiewająca — rzekłem zwracając tom.—Wszak to karyera ucziwego żołnierza.

— Prawda—odparł Holmes.—Do pewnego czasu nie można było mu zarzucić. Miał zawsze żelazne nerwy, a w Indjach dotychczas opowiadają, jak wskoczył do rowu, goniąc za zranionym, pożąrającym człowieka tygrysem. Bywają drzewa, Watson'ie, które rosną do pewnej wysokości, a potem

nagle karłowacieją, wyrodnieją. To samo zdarza się często u ludzi. Według mojej teorii, jednostka przedstawia w rozwoju swoim cały szereg własnych przodków, a taki nagły zwrot do dobrego czy złego zależy od pewnego silnego wpływu, który oddziałał na cały ród. Dany osobnik staje się niejako streśczeniem dziejów własnej rodziny.

— Teorya nieco fantastyczna.

— To też ja się tak bardzo przy niej nie upieram. Mniejsza o powód, dość, że pułkownik Moran zaczął wchodzić na złą drogę. Jakkolwiek nie przyszło do jawnego skandalu, niemniej Indye stały się dla niego za ciasne. Wyjechał, przybył do Londynu i znów zarobił na złą sławę. W owej to epoce odnalazł go profesor Moriarty i przez pewien czas Moran był naczelnikiem jego sztabu. Moriarty zaoopatrywał go hojnie w pieniądze i posługiwał się nim w wypadkach pierwszorzędnej wagi, powierzał mu robotę, której zwyczajny przestępca nie byłby się podjął.

„Pamiętasz może śmierć pani Stewart, z Landeru, w r. 1887. Nie? Otóż jestem przekonany, że na czele tego stał Moran; ale niezego nie było można mu dowieść.

„Pułkownik był tak mądrze ukryty, że nawet wtedy, gdy banda Moriarty'ego została rozproszona, nie mogliśmy jego oskarżyć.

„Przypominasz sobie, jak starannie, gdym był wówczas u ciebie, zamykałem okiennice, w obawie strzału? Uważałeś niechybnie, że jestem imaginacyjny. Tymczasem ja wiedziałem doskonale co robię, gdyż znanem mi było istnienie tej niezwyklej strzel-

by i to także, iż po za nią stanie jeden z najlepszych strzelców na świecie. Gdy byliśmy w Szwajcaryi, ścigał nas z Moriarty'm i jemu to niechybnie zawdzięczam owe ciężkie pięć minut na skałe Reichenbachu.

„Domyślasz się, że podczas pobytu swego we Francyi z niemałą uwagą czytywałem dzienniki, szukając sposobności wytropienia Morana. Dopóki on bowiem chodził swobodnie po Londynie, nie opłacało mi się żyć poprostu. Dniem i nocą unosiłby się nademną cień jego, a prędzej czy później zrobiłby swoje. Cóż mogłem uczynić? Niepodobna mi było przecież zastrzelić go przy spotkaniu, bo poszedłbym sam do więzienia. Odwoływanie się do policji na nieby się nie przydało. Nie może przedsiębrać żadnych kroków na podstawie tego, co wydawałoby się jej tylko podejrzeniem.

„Byłem tedy zupełnie bezsilny. Ale śledziłem pilnie nowiny kryminalne, wiedząc, że, prędzej, czy później, przyłapię Morana. Zdarzyła się śmierć tego Ronalda Adair'a. Nareszcie miałem go! Wiedząc to wszystko, o czem ci wspominałem, czy mogłem wątpić, że to sprawka pułkownika Morana? Grał w karty z tym chłopcem; poszedł za nim z klubu do domu; zastrzelił go przez otwarte okno. To nie ulegało wątpliwości. Same kule wystarczą, by głowę jego wsunąć w pętlę.

„Przyjechałem niezwłocznie. Wartownik widział mnie, byłem zatem pewien, że zwróci uwagę pułkownika na moją obecność. Ten zaś nie będzie mógł nie związać mego nagłego powrotu ze swoją zbrodnią i ogarnie go wielki niepokój. Takie snu-

jąc wnioski nie wątpię, że spróbuje usunąć mnie z drogi *odrazu* i użyje w tym celu swej morderczej broni. Postawiłem mu tedy świetny cel w oknie i, zawiadomiwszy policję, że może być potrzebna, zająłem najlepszy, jak mi się zdawało, punkt obserwacyjny, nie przypuszczając ani na chwilę, że i on to samo wybierze miejsce do swego ataku.

„No, mój drogi Watson'ie, czy pozostał jeszcze jakiś szczegół, który powinienbym ci wyświetlić?

— Tak—odparłem. — Nie wyjaśniłeś mi jaki powód mógł mieć pułkownik Moran do zamordowania Ronalda Adair'a.

— Ach! mój drogi, wchodzimy tu w te stery przypuszczeń, w których najlogiczniejszy umysł może popełniać błędy. Każdy może wytworzyć swoją własną hipotezę co do wypadku wiadomego, a twoja może być równie słuszna, jak moja.

— A zatem ty już masz swoją hipotezę?

— Sądzę, że nietrudno jest fakty wyjaśnić. Stwierdzony został fakt, że pułkownik Moran i młody Adair wygrali wspólnie znaczną sumę pieniędzy. Moran niewątpliwie grał znaczonemi kartami... że w grze oszukuje, wiedziałem oddawna. Przypuszczam, że wykrył to i Adair w dniu, w którym został zamordowany. Bardzo prawdopodobnie Adair rozmówił się z nim poufnie i zagroził, że go wyda, jeśli on nie wystąpi dobrowolnie z klubów i nie przyrzeknie, że przestanie grać w karty.

„Nieprawdopodobnem jest, aby taki młodzik, jak Adair wywołał odrazu głośny skandal, wystawiając człowieka dobrze znanego, a nadto o tyle starszego. Postąpił zatem najpewniej tak, jak mó-

wię. Wyłączenie z klubów stanowiłoby ruinę dla Morana, który żył z zarobków karcianych. Dlatego zamordował Adair'a w chwili, gdy ten obliczał ile pieniędzy powinien zwrócić, skoro nie mógł korzystać z oszukańczej gry swego partnera. Zamknął się na klucz, żeby jego panie nie zaskoczyły go przy tem zajęciu i nie pytały co znaczą te pieniądze i te nazwiska. Czy to jasne?

— Nie wątpię, że tak było w istocie.

— Proces wykaże, czy nie omyliłem się we wnioskach. Tymczasem cokolwiekbądź stanie się później, pułkownik Moran nie będzie nas już niepokoił, słynna strzelba von Herdera ozdobi muzeum Scotland-Yardu, a pan Scherlock Holmes będzie mógł znów z całą swobodą poświęcać czas swój badaniu tych zajmujących drobnych zagadnień, jakich pełne jest zawile życie Londynu.

## ZBRODNIA BRYGADYERA.

(Z pamiętników Sherlocka Holmesa).

We wszystkich wielkich zastępach wojska francuskiego jeden tylko był oficer, dla którego Anglicy z armii Wellingtona zachowali głęboką, i trwałą nienawiść. Byli między Francuzami łupieżcy i ludzie, którzy dopuszczali się gwałtów, byli szulerzy, pojedynkowiec i wytrawne lotry. To wszystko mogło być przebaczone, bo im podobni znajdowali się też w szeregach angielskich. Ale jeden z oficerów pułku Masseny popełnił przestępstwo niewypowiedziane, niesłychane, ohydne; przestępstwo, o którym można było wspominać tylko, klnąc, późnym wieczorem, gdy druga butelka rozwiązała języki mężczyzn.

Wieść o przestępstwie doniesiona została do Anglii, a szlachta wiejska, mało wtajemniczona w szczegóły wojny, oblewała się purpurą z gniewu, skoro wiadomość doszła do jej uszu, a ziemianie

podnosili ku niebu piegowate pięści i klęli. A jednakże sprawcą tego okropnego czynu był nasz przyjaciel, brygadyer Stefan Gerard, z pułku huźarów, z Conflans, świetny jeździec, dobroduszny, pełen fantazyi, ulubieniec pań, faworyt sześciu brygad lekkiej kawaleryi.

Najosobliwszem w tem wszystkim, jest to, że ten wytworny kawaler popełnił ów wstrętny czyn i stał się najniepopularniejszym człowiekiem na półwyspie, nie wiedząc nawet, że dopuścił się przestępstwa, na którego określenie nie znajdzie się chyba nazwy w naszej mowie.

Zmarł w wieku sędziwym i nigdy, w tej niezachwianej pewności siebie, która zdobyła czy też psuła jego charakter, nie dowiedział się ile tysięcy Anglików powiesiłoby go z radością własnymi rękoma. Przeciwnie, przygodę ową zaliczał do tych czynów, za które należała mu się wdzięczność świata i nieraz pysznił się i uśmiechał z zadowoleniem, gdy opowiadał ją cheiwym słuchaczom, którzy otaczali go w skromnej kawiarni, gdzie, między obiadem a partya domina, prawił, wśród łez i śmiechu, o tej niepojętej przeszłości Napoleońskiej, kiedy Francya, niby anioł gniewu, powstała, wspaniała i straszna, przed struchlałym światem.

Ale posłuchajmy jego samego, jak opowiada przygodę na swój sposób i ze swego punktu widzenia.

.....  
 — Trzeba wam wiedzieć, moi przyjaciele — mówił — że było to ku końcowi roku tysiąc osiemset dziesiątego, gdy ja i Massena i inni zniewolili-



śmy Wellingtona do cofania się, tak, że mieliśmy nadzieję, iż wpędzimy jego i jego armię do Tagu. Ale, gdy byliśmy jeszcze o dwadzieścia pięć mil od Lizbony, przekonaliśmy się, że jesteśmy zdradzeni, bo ten Anglik wybudował przecież olbrzymią linię szzańców i fortów w miejscowości nazwanej Torres Vedras, tak, że nawet my nie mogliśmy się przedostać!

Ciągnęły się wzdłuż całego półwyspu, a nasza armia była tak daleko od obozu, że nie mieliśmy odwagi zryzykować odwrotu; pod Busaco zaś przekonaliśmy się, że walka z tymi ludźmi nie jest dziecinną igraszka. Cóż tedy mogliśmy uczynić innego, jak zająć stanowisko przed tymi szzańcami i blokować je? Pozostaliśmy tam przez sześć miesięcy wśród takiego niepokoju, iż Massena mówił później, że nie pozostał mu ani jeden włos, któryby nie osiwił.

Co do mnie, niebardzo się tam martwiłem o nasze położenie—doglądałem tylko koni, które wiele już potrzebowały wypoczynku i zielonej paszy. Zresztą zapisaliśmy wino miejscowe i spędzaliśmy czas jakżeśmy mogli najlepiej. Była tam w Santaremie pewna dama—ale usta moje są zamknięte. Rycerskiemu mężczyźnie nie przystoi nie mówić, jakkolwiek może dać do zrozumienia, że mógłby powiedzieć bardzo wiele.

Pewnego dnia Massena przysłał po mnie; zastałem go w namiocie przed wielkim planem, rozpiętym na stole. Spojrzał na mnie w milczeniu tem jednym przenikliwym okiem swoim, a ów wzrok powiedział mi, że sprawa jest poważna. Był zde-

nerwowany, niespokojny, ale moje zachowanie się dodało mu widocznie otuchy. Zetknięcie się z ludźmi odważnymi ma zawsze wpływ zbawienny.

— Pułkowniku Stefanie Gerardzie — rzekł — słyszałem zawsze, że jesteś bardzo dzielny i przedsiębiorczym oficerem.

Nie moja to była rola potwierdzić pogłoskę, wszelako zaprzeczyć jej byłoby szaleństwem; brzęknąłem tedy ostrogami i salutowałem.

— Jesteś także znakomitym jeźdźcem.

Przyznałem się do tego.

— I najlepszym żołnierzem w sześciu brygadach lekkiej kawaleryi.

Massena słyszał istotnie z dokładności swoich informacji.

— A teraz — mówił dalej — jeśli spojrzysz na ten plan, z łatwością zrozumiesz, pułkowniku, czego od ciebie zażądam. Oto szaniec Torres Vedras. Jak widzisz pokrywają rozległą przestrzeń, a rozumiesz sam, że Anglicy mogą zajmować tę tylko oto i tę pozycję. Skoro raz przedostaniesz się przez szaniec, będziesz miał dwadzieścia pięć mil wolnego obszaru pomiędzy nimi a Lizboną. Rzeczą niezmierniej wagi dla mnie jest dowiedzieć się, w jaki sposób wojska Wellingtona są rozłokowane na tej przestrzeni i pragnę, abys się tam udał i upewnił się o tem.

Na te słowa zimny dreszcz przebiegł po mnie.

— Panie — rzekłem — niepodobieństwem jest, żeby pułkownik lekkich huzarów przystał na odegranie roli szpiega.

Roześmiał się i poklepał mnie po ramieniu.

— Nie byłbyś pan huzarem, gdybyś nie był takim gorączką — odparł.—Jeśli posłuchasz, zrozumiesz, że nie żądałem od ciebie, byś grał rolę szpiega. Jak ci się podoba ten koń?

Zaprowadził mnie przed wejście do namiotu, a tam strzelec oprowadzał precudne zwierzę. Był to koń<sup>siwy</sup>, jabłkowity, niezbyt duży — miał może trochę więcej, niż pięć stóp, z krótkim łbem i wygiętą szyją, co wykazuje krew arabską. Łopatki i uda miał takie muskularne, a nogi takie cienkie, że przyglądałem mu się z dreszczem rozkoszy. Nie mogę bez wzruszenia patrzeć na rasowego konia i na piękną kobietę, nawet teraz, kiedy siedemdziesiąt zim ochłodziło krew moją. Możecie sobie wyobrazić, co to było w 1810 r.

— To jest — rzekł Massena — „Woltyżer“, najszybszy koń w naszej armii. Otóż żądam, abyś pan wyruszył dziś w nocy, objechał szanice z boku, przedostał się przez tylne straże nieprzyjaciela, powrócił wzdłuż boku przeciwległego i przywiózł mi wiadomość, jak wojska są rozlokowane. Będziesz w mundurze, co, jeśli zostaniesz schwytyany, uchroni cię od śmierci szpiega. Być może, iż przedostaniesz się przez szanice bez przeszkody, straże są bowiem bardzo rozproszone. A skoro się raz przedostaniesz, we dnie możesz prześcignąć kogokolwiek spotkasz, a jeśli będziesz się trzymał zdala od dróg, możesz się wydostać zupełnie niepostrzeżenie. Jeśli się pan nie zgłosisz do jutra wieczorem, zrozumiem, że zostałeś schwytyany i proponuję w zamian pułkownika Petrie.

Ach, jakże serce moje wezbrało dumą i rado-

ścią, gdy wskoczyłem w siodło i galopowałem tam i napowrót na przepysznym koniu, chcąc pokazać marszałkowi, że mam zwierzę najzupełniej w swojej mocy! „Woltyżer“ był wspaniały, byliśmy wspaniali obaj, gdyż Massena klaskał w dłonie i krzyknął z zachwytu.

Nie ja powiedziałem, lecz on rzekł, iż wytworne zwierzę zasługuje na wytwornego jeźdźca. Gdy wreszcie po raz trzeci, z rozwianym pióropuszem, z powiewającym dolmanem minąłem go, jak strzała, wyczytałem z jego starego, surowego oblicza, że nie miał już żadnych wątpliwości co do tego, iż wybrał właściwego człowieka dla swoich celów.

Dobylem szabli, poniosłem rękojeść do ust, salutując, i pogalopowałem do swej kwatery. Wiadomość, że zostałem wybrany do spełnienia misji, już się była rozeszła i moje poczciwe chłopey wybiegli ze swych namiotów i wznosili okrzyki na moją cześć.

Ach, lży nabiegają mi do oczu, gdy pomyślę, jacy oni byli dumni ze swego pułkownika. Ja byłem także z nich dumny. Zasługiwali na dziarskiego dowódcę.

Noc zapowiadała się burzliwie, co przypadało mi wielce do gustu. Pragnąłem wyjazd swój zachować w największej tajemnicy, bo oczywiście było, iż, gdyby Anglicy usłyszeli, że zostałem odłączony od armii, wywnioskowaliby ztąd, naturalnie, że spodziewane są ważne wypadki.

Dlatego też mój koń został wyprowadzony poza linię pikiety, niby dla pojenia, a ja poszedłem

później za nim i tam go dosiadłem. Miałem ze sobą mapę, kompas i papier z instrukcjami od marszałka; z tem wszystkiem na piersi, pod mundurem i z szablą u boku ruszyłem w drogę.

Drobny deszczyk rozpadał się na dobre, księżyc skrył się za chmury, możecie sobie zatem wyobrazić, że nie było mi bardzo wesoło. Ale serce moje biło radośnie na myśl o zaszczycie, jaki mnie spotkał i o sławie, która mnie czekała. Ten czyn rycerski miał powiększyć świetny szereg innych, których przeznaczeniem było zamienić moją szablę na marszałkowską buławę.

Ach! jakież marzenia snuliśmy, szaleńcy młodzi i upojeni powodzeniem! Gdybym był mógł przewidzieć owej nocy, gdy jechałem, wybrany z pomiędzy sześćdziesięciu tysięcy, że spędzę swoje życie na sadzeniu kapusty, pobierając sto franków pensyi miesięcznej! O, ty młodości moja, wy, moje nadzieje, moi towarzysze! Ale koło przeznaczenia toczy się bez przerwy. Wybaczcie mi, przyjaciele, albowiem człowiek stary miewa chwile słabości.

Droga moja prowadziła wzdłuż górzystego obszaru Torres Vedras, potem przez strumyk, mimo folwarku, który został spalony i był dziś już tylko znakiem granicznym; potem przez las młodych dębów korkowych do klasztoru św. Antoniego, który oznaczał lewy bok pozycyi angielskiej. Tu zwróciłem się ku południowi i jechałem spokojnie dolinami; Massena bowiem mniemał, że tędy właśnie najłatwiej dla mnie będzie przedostać się nieopstrzeżenie.

Jechałem bardzo wolno, gdyż było tak cie-

mno, że nie widziałem przed sobą własnej dłoni. W takich wypadkach puszczałem cugle i pozwalałem koniowi wybierać drogę. „Woltyżer“ szedł naprzód, z całą pewnością siebie, a ja byłem bardzo rad, że siedzę na jego grzbiecie i mogę rozglądać się dookoła, unikając każdego światła.

Przez trzy godziny dążyliśmy naprzód w taki ostrożny sposób, aż wreszcie zdawało mi się, że pozostawiłem wszelkie niebezpieczeństwo po za sobą. Wówczas popędziłem konia, chciałem bowiem dotrzeć do tylnej straży całej armii o świcie. W tych okolicach są liczne winnice, które w zimie zamieniają się na otwarte równiny i jeździec niewiele tu spotyka przeszkód na swej drodze.

Massena wszakże zlekceważył przebiegłość Anglików, okazało się bowiem, że wzniesli oni nie jedną, ale trzy linie fortyfikacyjne, a trzecia była najpotężniejsza i przez tę właśnie przejeżdżałem w danej chwili. Gdy tak jechałem, upojony własnym powodzeniem, nagle zamigotało przedemną światło latarni, ujrzałem połysk lufy karabinowej i blask czerwonego munduru.

— Kto idzie!—krzyknął głos jakiś.

Jaki to był głos! Skręciłem na prawo i popędziłem, jak szalony, ale z tuzin błysków ognistych przedarł ciemności i kule, świszcząc, latały mimo moich uszu. Nie był to dla mnie odgłos nowy, moi przyjaciele, jakkolwiek nie będę gadał, jak zwaryowany rekrut i opowiadał, że odgłos ten lubilem. Ale ostatecznie nie zamącał mi nigdy myśli, miałem tedy świadomość, że nie pozostawało mi nic

innego tylko galopować dalej i próbować szczęścia gdzieindziej.

Objechałem dokoła pikiety angielskie, poczem, ponieważ nie dawały już znaku życia, wywnioskowałem słusznie, że nakoniec przedostałem się przez ich fortyfikacye. Jechałem w kierunku południowym pięć mil, zapalając od czasu do czasu hubkę, by spojrzeć na swój kompas kieszonkowy. Naraz, w mgnieniu oka—czuję znów ten sam ból na samo wspomnienie chwili owej — mój koń, bez jęku ni drgnienia, runął martwy przedemną!

Nie wiedziałem o tem, że jedna z kul tej piekielnej pikiety ugodziła w konia. Szlachetne zwierzę nie rzuciło się, ani osłabło w biegu, lecz pędziło, dopóki dech w niem nie zamarł. W jednej chwili byłem bezpieczny na najszybszym, najpiękniejszym koniu w armii Maseny; w drugiej—koń leżał na boku, wart tyle tylko, co jego skóra; a ja stałem przy nim, najbezsilniejszy, najniezgrabniejszy z ludzi, jakim jest pozbawiony konia hazard.

Na cóż mi się mogły już teraz przydać buty, ostrogi, szabla? Byłem daleko w obrębie szaniców nieprzyjacielskich. Jakże mogłem mieć nadzieję, że powrócę? Nie wstydzę się powiedzieć, że ja Stefan Gerard, usiadłem na swym martwym koniu i zrozpaczony, ukryłem twarz w dłoniach.

Pierwszy brzask jaśniał już na wschodzie. Jeszcze pół godziny, a zawita dzień. Pokonać na drodze wszelkie przeszkody i potem, w ostatniej chwili, być zdanym na łaskę wrogów, nie spełniwszy misyi, uwięzionym — czyż to nie dosyć, żeby rozedrzeć serce żołnierza?

Ale, odwagi przyjaciele! Miewamy takie chwile słabości wszyscy, nawet najmężniejsi; mój duch wszakże jest, jak pręt stalowy, im silniej go zgiąć, tem wyżej odskakuje. Jeden poryw rozpacz, a potem głowa chłodna i serce ogniste. Nie wszystko było jeszcze stracone. Ja, który wybrnąłem z tylu niebezpieczeństw, wybrnę również i z tego. Wstałem z konia i zacząłem rozważać co począć.

Przedewszystkiem wracać nie mogłem, to była rzecz pewna. Zanim zdołałbym przedostać się przez szaniec, byłby już jasny dzień. Musiałem zatem ukryć się przez dzień a potem poświęcić na ucieczkę noc następną. Zdjąłem ze swego biednego „Woltyżera” siodło, olstra i uzdę i ukryłem to wszystko w krzakach tak, że nikt, znalazłszy konia, nie mógłby poznać, że to koń francuski. Pótem, pozostawivszy go tam, gdzie padł, powędrowałem szukać kryjówki, w której byłbym bezpieczny przez dzień. We wszystkich kierunkach mogłem dostrzedz ogniska obozowe na zboczach pagórków i już ludzie zaczęli się ruszać dokoła nich. Musiałem zatem ukryć się szybko, inaczej groziła mi zguba.

Ale gdzie się ukryć? Znajdowałem się w winnicy; tyki sterczały, ale bez latorośli; tu nie było żadnej osłony. Nadto trzeba było zdobyć trochę jadła i wody zanimby znów noc nadeszła. Śpieszyłem co tchu wśród rozpraszających się ciemności, ufając, że fortuna będzie mi sprzyjała. I nie doznałem zawodu. Fortuna jest kobietą, moi przyjaciele, i czuwa zawsze nad rycerskim huzarem.

Otóż, gdy tak dążyłem przez winnicę, nagle ukazało się coś przedemną—dom czworokątny i przy-



legły długi budynek z jednej strony. Spotykały się tam trzy drogi i łatwo było rozpoznać, że to *posada*, czyli winiarnia. W oknach nie było światła, wszędzie panowała ciemność i cisza, ale, oczywiście, byłem pewien, że taka wygodna kwatery jest zajęta i to prawdopodobnie przez jakąś ważną figurę.

Doświadczenie nauczyło mnie wszakże, iż im bliżej niebezpieczeństwa, tem miejsce jest pewniejsze, nie miałem tedy najmniejszego zamiaru porzucić to schronienie. Budynek niski był widocznie stajnią i tu się wsunąłem, gdyż drzwi zastałem uchylone. Pełno tam było nagromadzonego bydła i owiec, ukrytych niewątpliwie przed szponami maruderów. Drabina prowadziła na strych, wszedłem tedy po niej i ukryłem się w leżącym tam sianie. Ten strych miał małe otwarte okienko, przez które mogłem widzieć front gospody, a także i drogę. Ułożyłem się tedy przed oknem i patrzyłem, czekając, co też dalej będzie.

Okazało się niebawem, że nie omyliłem się, przypuszczając, iż jest to kwatery jakiejś wybitnej osobistości. Skoro tylko dzień zaświtał, nadjechał dragon angielski z depeszą, poczem rozpoczął się ruch i zgłęb — oficerowie przyjeżdżali i odjeżdżali nieustannie. A na ustach mieli ciągle jedno i to samo nazwisko: „Sir Stapleton—sir Stapleton.“

Ciężko mi było strasznie leżeć z suchym wąsem i patrzeć na wielkie butelki, które oberżysta znosił oficerom angielskim. Ale bawił mnie widok ich rumianych, wygolonych, wesołych twarzy i myślałem sobie, coby też rzekli, gdyby wiedzieli, że taka sławna osobistość spoczywa tak blisko nich.

A potem, gdy tak leżałem i patrzyłem, oczom moim przedstawił się widok, który mnie przejął zdumieniem.

Zuchwalstwo tych Anglików przechodziło, rzeczywiście, wszelkie pojęcie! Jak wam się zdaje, co milord Wellington uczynił, dowiedziawszy się, że Massena go osaczył i że armia nie może ruszyć z miejsca? Ręczę, że nie zgadniecicie. Powiecie niezawodnie, że wpadł we wściekłość, że ogarnęła go rozpacz, że zwołał swoich żołnierzy i mówił im o chwale i ojeźźynie, zanim ich poprowadził na ostatnią bitwę.

Nie, milord wcale nie z tego wszystkiego nie uczynił, lecz wysłał jeden z okrętów floty do Anglii po foksy i urządził sobie z oficerami polowanie na lisy. To, co wam mówię, jest szczerą prawdą. Po za szanćcami Torres Vedras, ci waryaci Anglicy polowali na lisy przez trzy dni w tygodniu. Słyszeliśmy o tem w obozie, a teraz przekonałem się naocznie, że to prawda.

Wzdłuż drogi bowiem, którą opisałem, szły właśnie psy, jakie trzydzieści czy czterdzieści, białe i brązowe, a każdy miał ogon jednakowo przycięty i sterzący, niby bagnety starej gwardyi. Dali-bóg, ładny to był widok! A za psami i wśród nich jechali konno trzej mężczyźni w czapkach i czerwonych trakach; domyśliłem się, że to dojeżdżacze.

Za nimi dążyli jeźdźcy w różnych mundurach po dwóch i trzech, rozmawiając i śmiejąc się. Jechali truchtem i pomyślałem sobie, że powolny to musi być lis, którego zamierzają schwytać. Wszelako, to była ich rzecz, nie moja, a niebawem minęli moje okno i straciłem ich z oczu. A ja dalej cze-

kalem i śledziłem bacznie, gotów do czynu przy lada nadarzonej sposobności.

Teraz nadjeżdżał kłusem oficer w mundurze niebieskim, podobnym do naszej lotnej artylerji— był to mężczyzna starszy, tęgi, z siwemi bokobrodami. Zatrzymał się i zaczął rozmawiać z oficerem dragonów, który czekał przed oberżą i wówczas to okazało się, jaką korzyść przyniosła mi nauka języka angielskiego. Mogłem słyszeć i rozumieć wszystko, co mówiono.

— Gdzie spotkanie?— spytał oficer, a tamten odparł, że w pobliżu Altary.

— Spóźniłeś się, sir Jerzy— rzekł oficer.

— Tak, miałem sąd wojenny. Czy sir Stapleton już pojechał?

W tejże chwili otworzyło się okno i wyjrzał przystojny młody mężczyzna we wspaniałym mundurze.

— Dzień dobry, Murray!— zawołał.— Te przekłete papieryska trzymają mnie, ale jadę za tobą.

— Doskonale, Cottonie. Spóźniłem się, już jadę tedy dalej.

— Powiedz pan mojemu *groom*'owi, żeby mi przyprowadził konia — rzekł młody generał z okna do oficera na dole, gdy Murray jechał dalej gościńcem.

Oficer podążył do jakiejś dalszej stajni, a w kilka minut później ukazał się zwinny *groom* angielski z kokardą na kapeluszu, prowadząc za uzdę konia — ach, moi przyjaciele, nie możecie mieć wyobrażenia, do jakiej doskonałości może dojść koń

jeżeli nie widzieliście huntera angielskiego pierwszej klasy.

Był poprostu wspaniały: — duży, rosły, silny, a przytem zgrabny i zwinny jak sarna. Maści czarnej, jak węgiel, a szyja, a łopatki, a grzbiet, a pęciny—jakże zdołam opisać go wam całego? Słońce odbijało się w nim, jak w politurowanym hebanie, jednej chwili nie ustał w miejscu, tańczył, podnosząc kopyta z niesłychaną lekkością i wdziękiem, potrząsał grzywą i rżał z niecierpliwości. Jak żyję nie widziałem takiej mieszanki siły, piękności i wdzięku. Dziwiłem się często w jaki sposób huzarzy angielscy mogli prześcignąć strzelców gwardyi pod Astorga, ale przestałem się dziwić, gdy zobaczył konie angielskie.

Naraz odezwał się we drzwiach oberży dzwonek, nawołujący do siodłania koni a *groom* przywiązał konia i wszedł do domu. W mgnieniu oka objąłem sposobność, jaką mi tu los nastęrczył. Gdybym siedział w tem siodle lepiejby mi się działo, niż gdym wyjeżdżał z obozu. Nawet „Woltyżer“ nie mógł iść w porównanie z tem przepyszcznem zwierzęciem. Od myśli do czynu droga u mnie szybka.

W jednej chwili zbiegłem z drabiny i stanąłem we drzwiach stajni. W następnej byłem na dworze i schwytałem cugle w rękę. Wskoczyłem na siodło. Ktoś, pan albo jego sługa, krzyknął przeraźliwie za mną. Co mnie obchodziły te krzyki! Spiąłem konia ostrogami, a on skoczył naprzód, takim rzutem, że tylko taki jeździec jak ja mógł utrzymać się w strzemionach. Zdałem zupełnie cugle i puściłem

go swobodnie, wszystko mi było jedno narazie do-  
kąd leciał, byleby tylko jaknajdalej od oberży.

Pędził, jak strzała, przez winnice i w ciągu  
kilku minut mile całe dzieliły mnie od tych, którzy  
mnie ścigali. Nie wiedzieli już w tej pustej okolicy  
w jakim kierunku się zwróciłem. A ja wiedziałem,  
że jestem bezpieczny, wjechałem tedy na szczyt  
małego wzgórza, wydobyłem z kieszeni ołówek  
i notatnik i zacząłem kreślić plany tych obozów,  
które mogłem widzieć, oraz szkicować zarysy okolicy.

Niełatwo było rysować na grzbiecie tego wspa-  
niałego zwierzęcia, na którym siedziałem—od czasu  
do czasu strzygło uszami, rzucało się i drżało z nie-  
cierpliwości. Zrazu nie mogłem zrozumieć coby ten  
wybryk miał znaczyć, ale niebawem zauważyłem, że  
poruszał się tak tylko, gdy gdzieś, z głębi lasu dę-  
bowego za nami, dobiegał szczególny odgłos—„hu,  
ha, hu ha”. A potem nagle ten krzyk osobliwy  
zamienił się w najstraszliwszy wrzask, przyczem gra-  
ły rogi.

Koń w jednej chwili oszalał. Ślepia sypały  
iskry. Grzywa jeżyła się. Podskakiwał w górę,  
gryzł wędzidło, szarpał się i rzucał. Ołówek mój  
poleciał w jedną stronę, notatnik w drugą. A po-  
tem, gdym spojrział w dolinę, oczom moim przedsta-  
wił się nadzwyczajny widok.

Tam odbywało się polowanie. Lisa widzieć  
nie mogłem, ale psy gonily z wrzaskiem—nosy mia-  
ły przy ziemi, ogony w górę, a leciały takim zwar-  
tym szeregiem, że wyglądały niby jeden ruchomy  
kobierzec, żółty z białym. Za niemi pędzili jeźdźcy,  
galibóg, co za widok! Wszystkie typy wielkiej armii.

niektórzy w strojach myśliwskich, większość jednak w mundurach; dragony błękitne, czerwone, huzary w czerwonych spodniach, zieloni strzelcy, artylerzyści, błyszczący złotem huzarzy, a najwięcej czerwonych, czerwonych, czerwonych, bo oficerowie piechoty jadą równie dobrze jak konnica. Cały tłum — jechali nierówno ale wszyscy pędzili z całych sił, zarówno podwładny, jak i generał, szturchając się, popychając, spinając konia ostrogami, popędzając, pozbawieni wszelkiej innej myśli, prócz tej jednej, by coperdziej widzieć krew tego głupiego lisa! Doprawdy, dziwaczny to naród, ci Anglicy.

Ale niewiele miałem czasu na przyglądanie się polowaniu lub zdumiewanie się nad tymi wyspiarzami, albowiem z tych wszystkich oszalałych stworzeń, najszałem był właśnie koń na którym siedziałem. Rozumiecie — sam był hunterem, więc wrzask tych psów był dla niego tem, czem pobudka trąbki kawaleryi byłaby dla mnie tam, na ulicy. Przejmował go dreszczem. W szął go wpędzał. Co raz stawał dęba, aż wreszcie, schwyciwszy uzdę w zęby, sunął w dół ze wzgórza i poleciał wewół za psami.

Kląłem, szarpałem, rwałem, ale byłem bezsilny. Ten generał angielski prowadził swego konia tylko na tręzli, a zwierze miało pysk żelazny. Wszelkie powstrzymywanie go było daremne. Z równym skutkiem możnaby próbować powstrzymać grenadyera od butelki wina. Zrezygnowałem, zrozpaczony i, zasiadłszy mocno w siodle, przygotowałem się na rzeczy najgorsze.

Co to było za zwierzę! Nigdy w życiu nie

czulem pod sobą takiego konia. Wielkimi, lekkimi chodami sunął naprzód coraz prędzej i prędzej, wyciągnięty, jak chart—wiatr smagał mnie po twarzy i świszczwał mimo uszu. Miałem na sobie zwykajny, codzienny mundur, skromny i ciemny — są jednak postacie, które każdemu mundurowi nadają cechę wytworności — i byłem o tyle ostrożny, że zdjąłem pióropusz ze swej czapki.

Dzięki temu nie było powodu, żeby w tej mieszaninie strojów, wśród uczestników polowania, mój strój zwracał uwagę, albo, żeby ci mężczyźni, pochłonięci ściganiem zwierzęcia, zważali na mnie. Myśl, że oficer francuski mógłby jechać wraz z nimi, była zbyt niedorzeczną, żeby im mogła wpaść do głowy. Roześmiałem się w głos, bo, rzeczywiście, wśród tego całego niebezpieczeństwa sytuacja nie była pozbawiona komizmu.

Powiedziałem, że myśliwi jechali nierówno, tak więc po kilku milach drogi, zamiast stanowić zwartą masę ludzi, jak pułk atakujący, byli rozproszeni na obszernej przestrzeni—lepsi jeźdźcy niemal tuż za psami, reszta dalej w tyle.

Otóż, nie byłem gorszym jeźdźcem od nich, a konia miałem najlepszego ze wszystkich; domyślicie się zatem, że niedługo trwało a znalazłem się na przodzie.

Skoro zaś ujrzałem pędzące psy, a za niemi czerwonego dojeżdżacza i tylko siedmiu czy ośmiu jeźdźców, dzielących mnie od nich, stała się rzecz niesłychana, bo i ja także oszalałem—ja, Stefan Gerard! W jednej chwili ogarnęła mnie zniecka gorączka sportu, żądza odznaczenia się, nienawiść do

lisa. Przekłęte zwierzę, miałożby zadrwić z nas? Nikczemny łupieżca, nadeszła jego godzina!

Ach, moi przyjaciele, podniosłe to uczucie, to umiłowanie sportu, to pragnienie stratowania lisa kopytami swego konia. Odbywałem polowania na lisy z Anglikami i mówię wam, że ten sport jest czemś wspaniałem—porywającym i pełnem szalu.

Im dalej jechaliśmy, tem szybciej galopował mój koń i niebawem już tylko trzech jeźdźców było tak blisko psów jak ja. Wszelka myśl o trwodze i wykryciu znikła we mnie. W głowie mi szumiało, krew cwałowała w żyłach—jedna tylko rzecz na ziemi wydawała mi się coś warta: schwywanie tego piekielnego lisa. Minąłem jednego z jeźdźców—huzara jak ja. Teraz już tylko dwóch mnie wyprzedzało—jeden w czarnem ubraniu, drugi ów błękitny artylerzysta, którego widziałem w oberży. Siwe bokobrody miał rozwichrzzone, od wiatru, siedział na koniu wspaniale.

Przez jaką milę, a może i więcej, trzymaliśmy się w tym samym szyku, poczem, gdy wjeżdżaliśmy na urwisty stok, dzięki swojej mniejszej wadze, wyprzedziłem ich, a stanąwszy na szczycie znalazłem się obok małego dojeżdźacza angielskiego o surowem obliczu. Przed nami były psy a o jakie sto kroków przed nimi mały brunatny kłębek — lis we własnej osobie, wyczerpany do ostatka. Widok jego rozżarzył mi krew nanowo.

— Aha, mamy cię wreszcie, zbrodniarzu!

Wolałem, wydawałem okrzyki, zachęcające dojeżdźacza, kiwałem ręką, chcąc mu okazać, że był przy nim ktoś, na kim mógł polegać.



Wreszcie już tylko psy pozostały między mną a moją zdobyczą. Te psy, których obowiązkiem jest naganiać zwierzynę, stanowiły teraz raczej przeszkodę niż pomoc dla nas, albowiem niewiadomo było jak je wyminąć. Dojeżdżacz odczuwał tę trudność równie dobrze jak ja, jechał bowiem za nami i nie mógł się zbliżyć do lisa. Był on wprawnym jeźdźcem, lecz brakło mu przedsiębiorczości.

Co do mnie, czułem, że byłoby to ubliżeniem dla huzarów z Conflans, gdybym nie mógł pokonać takiej jak ta przeszkody, Stefan Gerard miałby się pozwolić powstrzymać przez sforę foksovów? Głupstwo! Huknąłem i dałem ostrogę koniowi.

— Trzymać się panie! Trzymać! — krzyknął dojeżdżacz.

Niepokoił się o mnie, pocziwy staruszek, ale uśmiechem i ruchem ręki dodałem mu otuchy. Psy rozstąpiły się przedemną. Może stratowałem ze dwa albo trzy, ale cóż chcecie? Chcąc mieć omlet, trzeba stłuc jajko. Słyszałem, jak dojeżdżacz przesyłał mi grzmiącym głosem powinszowania. Jeszcze jeden wysiłek i wszystkie psy pozostały za mną. Teraz już tylko lis mnie wyprzedzał.

Ach, co to była za radosna chwila! Jakiem uczuciem dumy przejęło mnie przeświadczenie, że pobitem Anglików w ich własnym sporcie! Oto ich trzystu, żadnych życia tego zwierzęcia, a jednak ono będzie moje. Myśl moja pobiegła ku towarzyszom, ku brygadzie lekkiej kawaleryi, ku matce, ku cesarzowi, ku Francyi. Przyniosłem zaszczyt każdemu z nich i wszystkim razem. Każda chwila zbliżała do mnie lisa. Moment czynu nadszedł —

obnażyłem szablę, okręciłem ją w powietrzu, a sami Anglicy wydawali okrzyki na moją cześć.

Wówczas dopiero zrozumiałem, jak trudnem jest to polowanie na lisy — można uderzać raz po raz i nie trafić weale. Zwierzę jest małe i szybko wymija cios. Za każdym cięciem słyszałem za sobą te same okrzyki zachęty, które dodawały mi bodźca do coraz to nowego wysiłku.

W końcu nadeszła wreszcie ostatnia chwila mego tryumfu. W półobrocie ugodziłem w lisa takim samym zręcznym cięciem, jakim zabiłem adjutanta cesarza rosyjskiego. Lis rozpadł się na dwie części — łeb w jedną stronę, a ogon w drugą. Odwróciłem się i okręciłem pokrwawioną szablą w powietrzu. W tej chwili byłem wzniosły — wspaniały!

Ach! jakże byłbym pragnął zaczekać i otrzymać powinszowanie tych wspaniałomyślnych wrogów. Zbliżało ich się teraz z pięćdziesięciu, a nie było między nimi ani jednego, któryby nie wymachiwał ręką i nie krzyczał. Ci Anglicy nie są do prawdy weale taką flegmatyczną rasą. Dzielny czyn na wojnie, czy w sporcie, rozgrzeje zawsze ich serca.

Co do starego dojeżdźacza, ten znajdował się najbliżej mnie i mogłem widzieć własnymi oczyma jaki był oszołomiony tem, co widział. Wyglądał jak człowiek sparaliżowany — usta miał otwarte, rękę, z rozwartymi palcami, podniesioną w górę. Przez chwilę miałem ochotę zawrócić i ucisnąć go. Ale głos obowiązku dzwięczał mi już w uszach, a ci Anglicy, pomimo całego braterstwa, jakie istnieje

między sportsmenami, wzięliby mnie niechybnie do niewoli.

Teraz już nie było dla mnie żadnej nadziei spełnienia swojej misji, zrobiłem wszystko co mogłem zrobić. Widziałem w niezbyt wielkiem oddaleniu zarysy obozu Masseny, albowiem, szczęśliwy przypadek chciał, że polowanie skierowało się w tę stronę. Odwróciłem się od zabitego lisa, salutowałem szablą i pocwałowałem dalej.

Ale ci dzielni myśliwi nie chcieli mnie puścić tak łatwo. Ja teraz stałem się lisem i na równinie rozpoczął się pościg. Dopiero w chwili, gdy ruszyłem ku obozowi mogli się domyśleć, że jestem Francuzem i teraz cała gromada goniła za mną. Byliśmy na odległości strzału od naszych pikiet, zanim się zatrzymali—stanęli gromadkami i nie odjeżdżali tylko słali za mną okrzyki, wymachując rękoma.

Nie, nie chcę przypuszczać, że to pod wpływem wrogiego uczucia. Wolę raczej wyobrazić sobie, że zapal i podziw przepelniał im piersi i że jedynym ich pragnieniem narazie było uścisnąć cudzoziemca, który postąpił tak po rycersku i tak dzielnie.

K O N I E C.

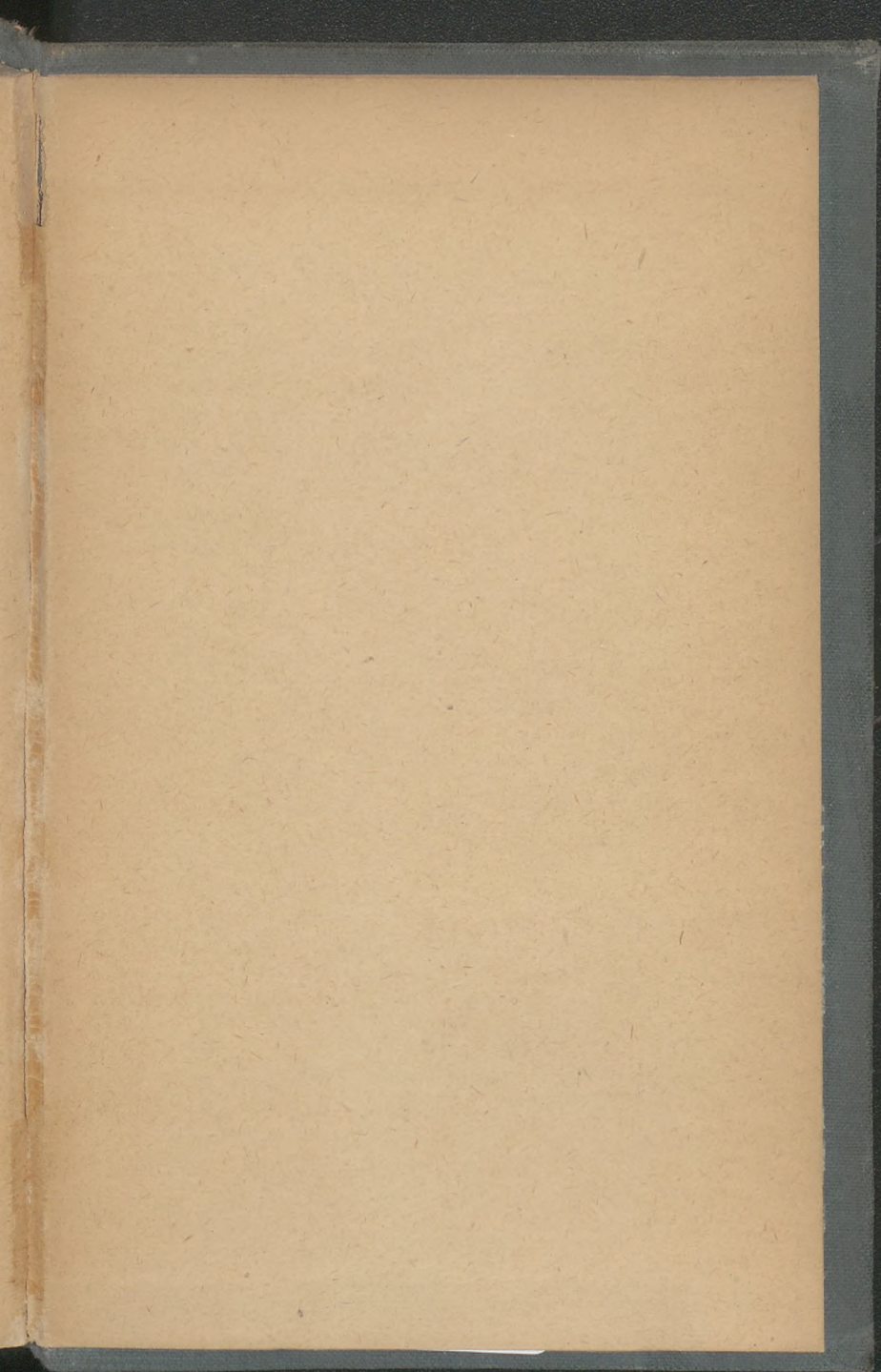


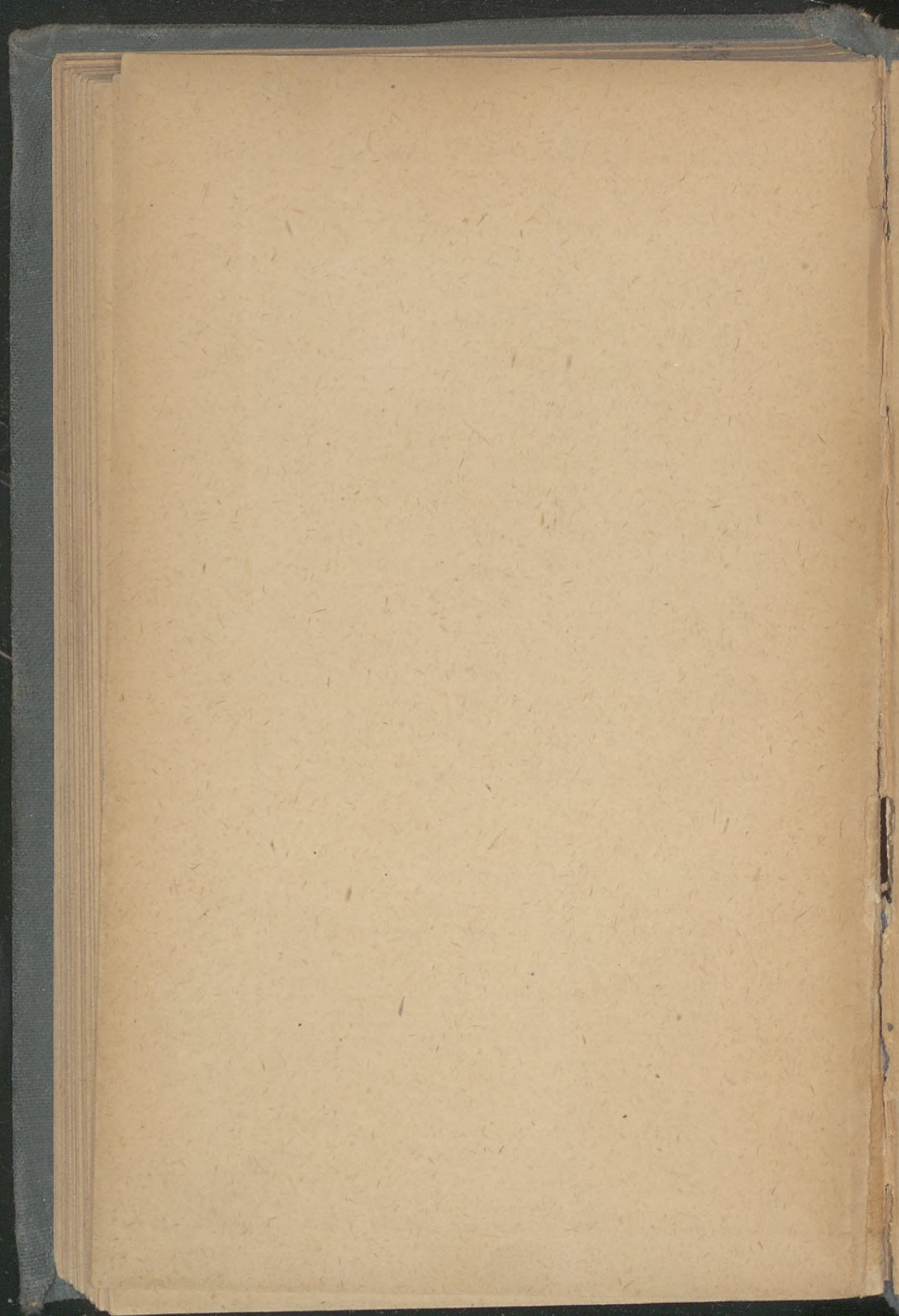
## SPIS RZECZY.

---

	<i>Str.</i>
Wstęga centkowana . . . . .	5
Buki purpurowe . . . . .	42
✓ Ostatnia zagadka . . . . .	79
✓ Pusty dom . . . . .	106
Zbrodnia brygadiera. (Z pamiętników Sher- locka Holmesa). . . . .	139

---





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020927996



2006097

---

---